NR: 38

ŚWIATOWID

TRAGICZNY ZGON POR. FRANCISZKA ŻWIRKI I INŻ. WŁADYSŁAWA WIGURY.



Dnia 11-go września zginął w katastrofie lotniczej as lotnictwa polskiego, zwycięzca w Międzynarodowym Challenge'u ś. p. porucznik Franciszek Żwirko i towarzyszący mu inżynier ś. p. Stanisław Wigura, jeden z konstruktorów aparatu R. W. D. 6. Zgon tych polskich orłów wywołał w całym kraju wstrząsające wrażenie i okrył żałobą nasze młode lotnictwo. Bohaterom, którzy rozsławili imię polskie po świecie, cześć! Zdjęcie przedstawia ś. p. porucznika Żwirkę

SENSACJE TYGODNIA.



SZEF SZTABU ARMJI AMERYKAŃSKIEJ W POLSCE. W tych dniach bawił w naszym kraju generał Douglas Mac Arthur, szef sztabu armji St. Zj. Am. Półn. Złożył on wizytę Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej, Marszałkowi Piłsudskiemu, oraz brał udział w ćwiczeniach dywizyjnych na Wołyniu. Zdjęcie przedstawia gen. Douglas Mac Arthura, opuszczającego Belweder, w towarzystwie szefa sztabu armji polskiej gen. Gąsiorowskiego.



ECHA MILJARDOWYCH OSZUSTW KREUGERA. Szczegółowe obliczenia wykazały, że Kreuger pozostawił około 1 miljarda koron szwedzkich passywów, na które niema żadnego pokrycia. Ze sprzedaży bowiem na licytacji kosztowności i dzieł sztuki pozostałych po Kreugerze, uzyskano stosunkowo tylko drobną sumę. W licytacji tej, która odbyła się w Sztokholmie, brały udział tłumy publiczności (na zdjęciu), powodowane chęcią nietyle kupna dzieł sztuki, ile zobaczenia meszkania człowieka, którego jeszcze niedawno nazywano królem zapałczanym, a który okazał się największym oszustem XX-go wieku.



CHÓR SYKSTYŃSKI W POLSCE. Do Warszawy, Częstochowy, Krakowa i innych większych miast polskich, przybył słynny chór Sykstyński z Rzymu. Na zdjęciu widzimy członków tego najświetniejszego na kuli ziemskiej chóru, opuszczających Dworzec Główny w Warszawie.



WYWCZASY BYŁEGO CESARZA WILHELMA. Ekskajzer przebywa począwszy od listopada 1918 roku na zamku Doorn w Holandji, gdzie schronił się po katastrofie na froncie zachodnim. Republika niemiecka nietylko nie skonfiskowała jego olbrzymich majątków, ale wypłaciła mu takie odszkodowanie, że Wilhelm należy do najbogatszych ludzi w Europie i może poświęcać się hodowli róż, no i finansować ruch monarchistyczny w Niemczech. Obecnie Wilhelm udał się na wywczasy letnie do kąpieliska morskiego Zandvoort (na zdjęciu), obok cesarza kroczy jego przyboczny lekarz dr. Plasmann.



CAŁKOWITE ZAĆMIENIE SŁOŃCA W AMERYCE. W ubiegłym tygodniu nastąpiło w Ameryce całkowite zaćmienie słońca. Zjawisko to było obserwowane z ciekawością przez szerokie tłumy publiczności i przez uczonych. Między innymi przybyła także do Ameryki polska ekspedycja naukowa, z prof. dr. Tadeuszem Banachiewiczem, dyrektorem obserwatorjum astronomicznego w Krakowie, na czele, celem poczynienia odpowiednich obliczeń astronomicznych. Na zdjęciu prezydent Hoover, przyglądający się zaćmieniu słońca.

PRZED ZBIOROWĄ WYSTAWĄ KOTSISA.

„Wycieczka w Tatry", obraz olejny Kotsisa (ze zbiorów Muzeum Narod. w Krakowie).

Kraków będzie świadkiem w jesieni b. r. dwóch imprez artystycznych o niemałem znaczeniu kulturalnem. Zapowiedziana jest już wystawa dzieł malarskich St. Wyspiańskiego, w 25-lecie zgonu genjalnego mistrza, a równocześnie Krak. Związek Plastyków przygotowuje miłośnikom sztuki niemniej wykwintną ucztę duchową, podejmując trud zgromadzenia z całego kraju i zagranicy dzieł mało znanego, choć wybitnego malarza z drugiej połowy XIX w. Aleksandra Kotsisa, zmarłego w Krakowie w pełni sił męskich dnia 7 sierpnia r. 1877.

Nie jest to jedynie przypadek, że z pośród licznej rzeszy znakomitych malarzy, jakich wydał Kraków w minionem stuleciu, wybór pada właśnie na Kotsisa. Każda generacja odbywa sąd nad przeszłością, dokonywa przewartościowania i przegrupowania w hierarchji indywidualności artystycznych na podstawie własnych ideałów i specyficznej, sobie właściwej wrażliwości estetycznej. I zapomniany, choć za życia swego bardzo ceniony malarz, zostaje dziś wysunięty przez młodszych na jedno z miejsc czołowych, staje się aktualnym. Potrąca najwidoczniej Kotsis o struny duchowe, szczególnie dziś czułe na jego mowę artystyczną. I niezawodnie to, co czyni go w dobie obecnej nowoczesnym, to przewaga pierwiastków formalnych w najogólniejszem znaczeniu nad anegdotą, nad treścią przedstawienia, to oddziaływanie na widza przedewszystkiem wartościami malarskiemi. Był malarzem rodzajowym, a charakter tej rodzajowości jest w ścisłej zależności od środowiska, w którem artysta wyrastał.

Aleksander Kotsis urodził się dnia 30 maja 1836 r. w Ludwinowie, wiosce położonej w najbliższem sąsiedztwie Krakowa. Ojciec jego pochodził z Lewoczy, małego miasteczka na Spiżu, zamieszkałego, jak wiadomo, przez ludność słowacką, matka zaś była rodem z Ludwinowa. W tej wsi ojciec Aleksandra miał małą posiadłość. Później porzucił gospodarstwo wiejskie, przeniósł się na Podgórze, które z Ludwinowem graniczy i wziął się do handlu. Aleksander więc, który urodził się na wsi, tam spędził pierwsze lata dziecinne, a później przez całą młodość i do końca życia, o ile nie przebywał za granicą, mieszkał na Podgórzu. Stąd od pierwszych lat młodości, najpierw jako student, a potem adept sztuki, codziennie odbywał do Krakowa pielgrzymkę, przez stary, zawsze brudny, ale przy tem malowniczy Kazimierz, główne siedlisko żydów, rojne i gwarne od świtu do nocy. Z tych bezpośrednich wrażeń, z tego najbliższego otoczenia złożyła się u Kotsisa, cała jego artystyczna twórczość. Dziecinne wspomnienia z życia na wsi, pastuszkowie i wiejskie dziewczęta, a potem te stare bóżnice na Kazimierzu, około których codzień przechodził, owe twarze handlarzy, drobnych kupców i lichwiarzy żydowskich, stojących po całych dniach na ulicy, którym się codzień w swej drodze do Krakowa przypatrywał, atmosfera murów starożytnych Krakowa, piękność krajobrazu jego okolic, wreszcie częste wycieczki w Tatry — oto źródła, skąd Kotsis czerpał motywy do swych licznych bardzo płócien. Chłop krakowski, żyd i góral — oto trzej jego bohaterowie, w różnych chwilach życia przedstawieni: pole porosłe zbożem, lub łąka kwietna, wnętrze dymnej chaty, wąska uliczka na Kazimierzu, lub połonina tatrzańska, to zwyczajna scena, na której swoje postacie umieszczał.

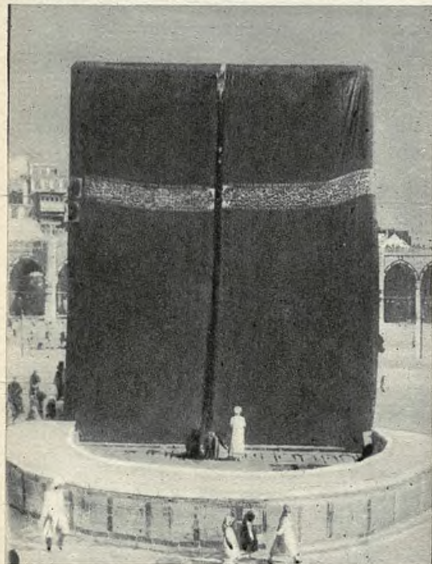
Kotsis wstąpił do szkoły sztuk pięknych w Krakowie w 16 roku życia i był kolegą Matejki. W r. 1860—61, jako stypendysta szkoły krakowskiej wyjechał do Wiednia i tam przebywał przez dwa lata. W r. 1866 pojechał do Brukselli. Później bardzo często wyjeżdżał za granicę, to do Wiednia, to do Warszawy, a najczęściej do Monachjum, tak, że zaledwie parę miesięcy do roku bawił w domu. W r. 1874 zwiedzał także Litwę. Na dwa lata przed zgonem dotknęła go ciężka choroba, rozmiękczenie mózgu, której wreszcie uległ.

Mimo tematów rodzajowych, sztuka Kotsisa niema w sobie nic z drastycznego realizmu. Brutalna rzeczywistość przemienia się pod jego ręką w obrazy pełne nieopisanego czaru poetyckiego, w myśl własnych jego słów: „czerpałem zawsze sam z siebie, motywując na tematach ludowych własnych uczuć tkankę".

Kotsis jest malarzem, nawet niejednemu znawcy sztuki bardzo mało znanym. Z 350 płócien, jakie pozostawił, zaledwie znikoma część, i to nie najlepsza, pomieszczona w muzeach, jest dostępna ogółowi. To też zamierzona wystawa budzi słusznie duże zaciekawienie i dla bardzo wielu będzie niespodzianką.

Dr Władysław Terlecki.

KARA ŚMIERCI
ZA ZNIEWAŻENIE ŚWIĘTEGO KAMIENIA.


Święty dywan w świątyni Kaaby w Mecce.


Ogólny widok Mekki, świętego miasta Muzułmanów, do którego wstęp niewiernym jest wzbroniony.


Ruch uliczny w Mecce.

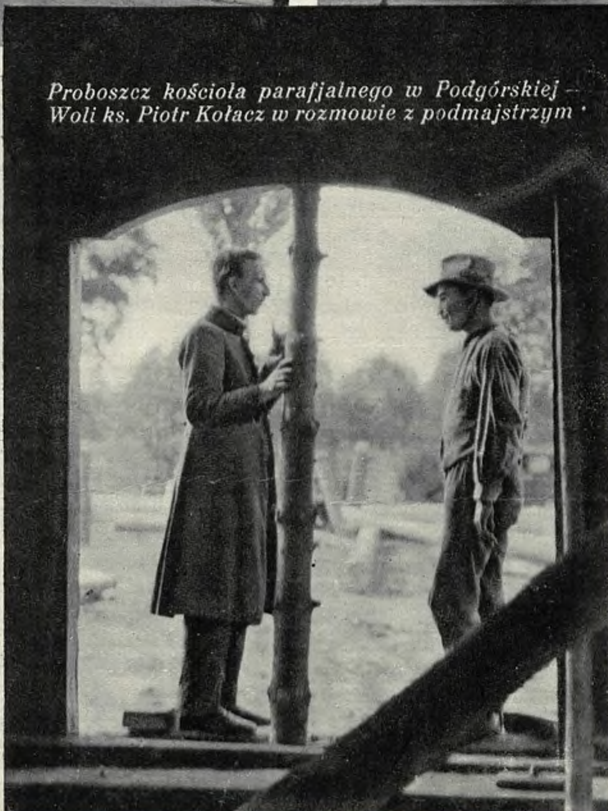
W ubiegłym miesiącu został w Mecce skazany na karę śmierci pielgrzym afgański, niejaki Abdul Satar Ibn Suffi i powieszony za to, że dopuścił się znieważenia słynnego czarnego kamienia w świątyni Kaaby. Mianowicie odrąbał on kawałek kamienia, odciął część zasłony wiszącej w świątyni i uszkodził srebrne schody wiodące do źródła Samzam. Tak wielkie świętokradztwo, mogło być pomszczone tylko śmiercią Abdul Satara, gdyż znieważył on największe świętości muzułmańskie a przedewszystkiem czarny kamień. Według podania był to jeden z klejnotów z raju, który wypadł na ziemię po wygnaniu Adama a następnie został zużyty do budowy świątyni Kaaby i umieszczony przez Abrahama w jej południowo-zachodnim rogu. Ma on kształt czworogranny i pierwotnie był biały, a dopiero z czasem zczerniły go grzechy ludzkie. Niezliczone karawany Arabów ciągnęły co roku do Mekki, aby składać ofiary na kamieniu Kaaby, a poeta arabski Nabi napisał o nim poemat, gdzie go nazywa lekarstwem pielgrzymów i powiada, że w nim leży cała tajemnica stworzenia świata i piękności ziemi. Kamień ten w ciągu wieków znajdował się pod strażą pokolenia Haszem, z którego w VI wieku urodził się prorok Mahomet. A jeżeli wiara jego tak szybko się rozszerzyła i tak licznych znalazła wyznawców, to głównie dlatego, że prorok zdobywszy Mekkę, uczynił Kaabę środkowym punktem nowej religji, przez to skłonił na swoją stronę wszystkie plemiona koczujące i odrazu opanował całą Arabję.

Każdy prawowierny Muzułmanin uważa za swój obowiązek odbyć choć raz w życiu pielgrzymkę do Mekki, aby ucałować ten święty kamień. Abdul Satar Ibn Suffi poszedł o krok dalej, chciał sobie bowiem zabrać kawałek tego kamienia na pamiątkę. Złapany jednak na gorącym uczynku odpokutował śmiercią swój śmiały czyn.

WĘDRÓWKA STAREGO KOŚCIOŁA.


Miejsce, skąd kościół w Podgórskiej Woli został przeniesiony na inne, odległe o jeden kilometr.


Kościół posuwający się na torze z legarów.
Zdjęcia Ag. Fot. „Światowida".


Proboszcz kościoła parafjalnego w Podgórskiej Woli ks. Piotr Kołacz w rozmowie z podmajstrzym.

W pierwszych dniach września dokonano po raz pierwszy w Polsce w Podgórskiej Woli, koło Tarnowa przeniesienia kościoła w całości z miejsca, w którem dotychczas się znajdował, do innego, odległego o kilometr. Przygotowania do tych przenosin trwały przez 2 tygodnie. Przedewszystkiem usunięto dobudówki boczne, sygnaturkę i babiniec. Następnie przy pomocy 4 lewarów podniesiono kościół o 80 cm. w górę, poczem podłożono pod niego ruszt drewniany, tak, że kościół stanął, jakby na tacy. Pod ruszt podstawione zostały wały bukowe o średnicy 20 cm., dla których na trasie ułożono rodzaj toru z legarów. Kościół ruszono z miejsca, ciągnąc go przy pomocy trzech lin stalowych, które nawijano na trzy zwykłe windy. budowlane, obsługiwane — każda przez 7 ludzi. Tak wleczony kościół został przesunięty przez pola o 960 metrów, pokonując dwa metry wzniesienia i wykonując trzy obroty.

W pracy tej brała udział cała ludność wsi, a setki włościan z bliższej i dalszej okolicy przypatrywały się temu niecodziennemu widowisku.

Kierownikiem robót był inżynier Studnicki, który działał w ścisłem porozumieniu z Urzędem konserwatorskim. Kościół bowiem w Podgórskiej Woli należy do zabytkowych. Wzniesiono go w połowie XVIII w. z drzewa modrzewiowego, jako kaplicę dworską, w roku zaś 1778 zamieniono go na kościół parafjalny pod wezwaniem św. Józefa.

O Podgórskiej Woli niezbyt pochlebnie wspominają dawne kroniki kościelne. Miejscowość ta bowiem słynęła z rozbojów na przejeżdżających kupców, tak, że mawiano: „Nie przeniesiesz grosza przez Podgórską Górę, chyba pod językiem". Razu pewnego, a działo się to w połowie XVIII w. proboszcz Niemiec, chcąc swych parafjan nawrócić na drogą uczciwości, pokryjomu wybrał się do Pilzna, a następnie przebrawszy się za kupca wieczorem wracał do domu. Jak było do przewidzenia, w pobliżu wsi napadło go trzech drabów. Proboszcz jednak będąc przygotowany na taką ewentualność, powalił ich palicą i związawszy, zawiózł do wójta. Jakież jednak było zdziwienie, gdy po przyłożeniu latarki stwierdzono, że jeden z napastników jest właśnie synem wójta...

Ale to już czasy dawno minione. Obecnie Podgórska Wola jest zamieszkała przez ludzi o wysokim poziomie moralnym, dbałych o sprawy publiczne. To też ksiądz proboszcz Piotr Kołacz nie narzeka na nich.

J. S.

CI—O KTÓRYCH SIĘ MÓWI.



WYWCZASY KRÓLA ANGIELSKIEGO. Król angielski Jerzy V bawi obecnie wraz ze swą żoną na zamku Balmoral w Szkocji. Ulubienicą króla jest wnuczka Elżbieta. W tych dniach król zawiózł ją po raz pierwszy do kościoła. Moment ten przedstawia fotografja.



BURMISTRZ TEL AWIWU W WARSZAWIE. Dnia 9-go b. m. przybył do Warszawy burmistrz Tel Awiwu p. Dysenhof, witany przez liczne rzesze na dworcu głównym (na zdjęciu). P. Dyzenhof należy do wybitnych działaczy sjonistycznych, a na stanowisku burmistrza Tel Awiwu zdobył sobie opinję energicznego działacza i znakomitego gospodarza.



NOWY KIEROWNIK MINISTERSTWA KOMUNIKACJI. Następcą ministra Kühna został mianowany inż. Michał Butkiewicz (na zdjęciu), prezes Dyrekcji Kolejowej w Radomiu. Posiada on opinję doskonałego fachowca.



DOBROCZYŃCA LUDZKOŚCI. Profesorowi Limousinowi, który przez 8 lat był kierownikiem laboratorjum w Instytucie Pasteura w Paryżu udało się sporządzić lekarstwo przeciwko zatruciu grzybami. Lekarstwo to składa się głównie z miazgi żołądka i mózgu królika. Spróbowano je dotychczas w trzech ciężkich wypadkach zatruć grzybami, w których spowodowało ono natychmiastową poprawę zdrowia. W ten sposób jeszcze jedno niebezpieczeństwo, zagrażające ludzkości, zostało dzięki odkryciu Limousine'a uchylone.

TRUMNY BOHATERÓW U BRAM POLSKI.



Wdowa po ś. p. por. Franciszku Żwirce, postępująca za trumną swojego męża na pogrzebie w Cieszynie, w towarzystwie kap. Komara. Por. Żwirko osierocił synka Henryka.



Kondukt pogrzebowy zdążający przez ulice Cieszyna do kaplicy szpitalnej. Za karawanem, w którym wiezione są zwłoki ś. p. Wigury, kroczy w pierwszym szeregu jego siostra, poza nią znany lotnik kapitan Halewski, który na wiadomość o katastrofie przyleciał z Pragi, gdzie przebywał na meetingu lotniczym.



Generał Czechosłowacji Meinlicher wygłasza przemówienie na pograniczu Polski i Czechosłowacji u bram polskiego Cieszyna. Poza generałem widoczny dr. Ripa, konsul Polski w Morawskiej Ostrawie





Wyżsi oficerowie polscy i czechosłowaccy w orszaku żałobnym. W pierwszym szeregu generał Przeździecki, obok niego generał czechosłowacki Meinlicher. Charakterystycznem jest, że oficerowie czechosłowaccy, którzy pogrzebowi mieli towarzyszyć tylko do mostu, dali się porwać chwili i szli z naszymi oficerami ramię przy ramieniu, aż do szpitala.



Z Cierlicka wieziono trumny na samochodach w asystencji wojska (na zdjęciu) i niezliczonych tłumów publiczności, oraz delegacyj wszystkich stowarzyszeń polskich, a przedewszystkiem sokołów.

Dnia 11-go sierpnia w godzinach rannych lotem błyskawicy po całej Polsce rozniosła się wiadomość, że chluba narodu polskiego, nasz najznakomitszy lotnik, porucznik Franciszek Żwirko i jego nieodstępny towarzysz, inżynier Stanisław Wigura zginęli w katastrofie lotniczej na terenie Cierlicka Dolnego w Czechosłowacji. Tragiczna ta wiadomość wzbudziła wszędzie bezmierny żal, rozpacz i przygnębienie. Poprostu wierzyć się nie chciało, że ten, który jeszcze przed kilku dniami stał u szczytu sławy i cieszył się szczęściem i powodzeniem, teraz leży zimny na marach.

Jaki był bezpośredni powód katastrofy samolotu porucznika Żwirki?

Dnia 11-go por. Żwirko przelatywał o godzinie 8-ej rano nad Cieszynem, kierując się do Czechosłowacji na meeting lotniczy do Pragi Czeskiej. Towarzysze jego wystartowali już w sobotę popołudniu. Widziano ich na pograniczu Śląska i słano ku nim pozdrowienia, przypuszczając ogólnie, że w gronie ich znajduje się Żwirko. Niestety Żwirko opóźnił start swój o 24 godzin, zapomniawszy w pośpiechu przeczytać komunikat meteorologiczny, który zapowiadał gwałtowną burzę. Burza ta rozszalała się na terenie Śląska o godzinie 8-ej rano. Towarzyszyła jej gwałtowna ulewa i bicie piorunów. Stopniowo natężenie wiatru wzmagało się i wreszcie zamienił on się w huragan, który wyrywał drzewa z korzeniami. Burza ta trwała wszystkiego pół godziny.

Jeden z naocznych świadków, niejaki Karol Skocz z Cierlicka Dolnego, tak opisuje przebieg katastrofy:

— Zrobiło się zupełnie ciemno, pioruny biły, że aż strach. Nagle wśród tych błyskawic zobaczyliśmy samotny aeroplan, który zdążał od Cieszyna przez Olbrachcice na Błędowice. Znajdował się on już na terytorjum czechosłowackiem w odległości 12-tu km od granicy. Leciał na wysokości 200 metrów, podrzucany i szarpany wichrem. Nikomu z nas ani przez myśl nie przeszło, że był to Żwirko. Kiedy aeroplan znalazł się o 6 km na zachód od Cierliska, wtedy zawrócił. Widać było, że coraz bardziej traci równowagę i że coraz trudniej przychodziło mu walczyć z szalejącym cyklonem.

Teren w Cierlickach jest pagórkowaty. Przez środek tej miejscowości biegnie gościniec, łączący Cieszyn i Morawską Ostrawę. Na wzgórzu stoi kościół, obok niego trupiarnia, dalej z boku samotny dom, a zaraz potem zaczyna się las, który stromo opada do głębokiego jaru, zarośniętego zagajnikiem. Przed tym lasem są pola orne, na których z trudem można wylądować, gdyż teren jest pochyły, pełen nierówności i poprzedzielany głębokiemi bruzdami.

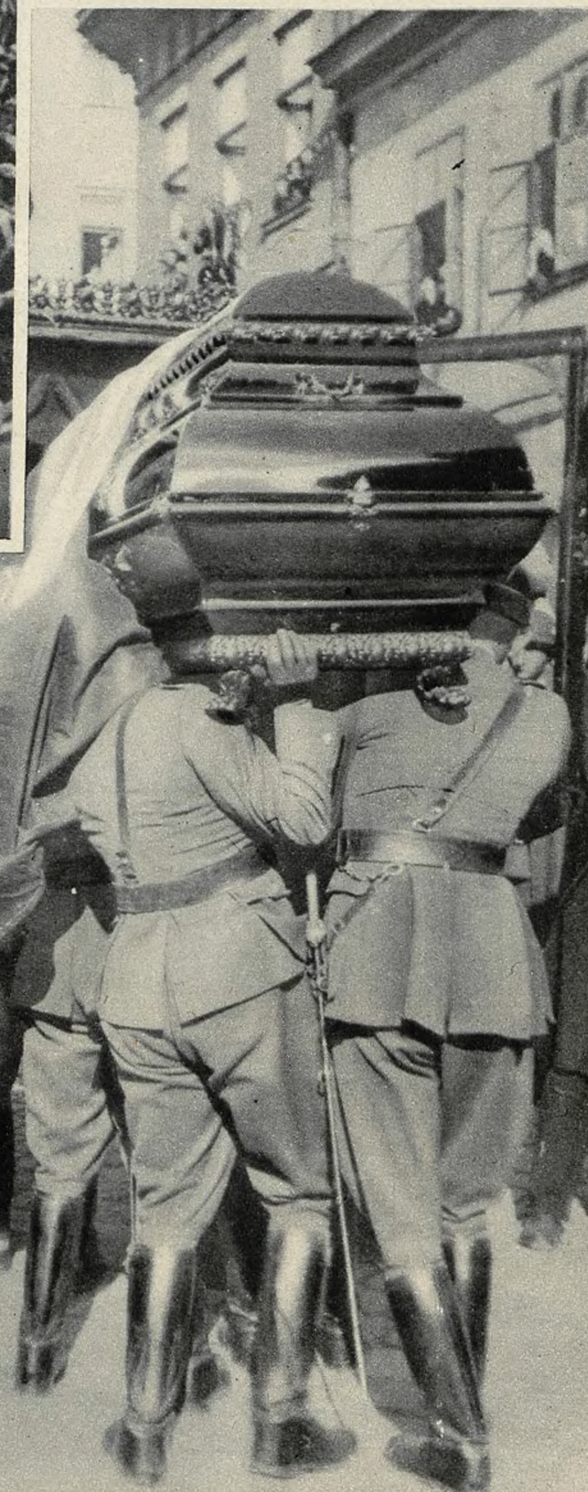
Otóż, kiedy tajemniczy samolot zawrócił z drogi, widziałem, że rozpaczliwie szuka on miejsca do lądowania. To się zniżał, to wzbijał w górę. Nagle w pewnym momencie podskoczył i zwinął się, jakby go kula trafiła. Zaraz potem z prawego skrzydła posypały się strzępy, część jego oderwała się i runęła na ziemię. Potem odpadł ster. Teraz aparat pozbawiony równowagi, zacząć obracać się w powietrzu i koziołkować. Wiedziałem, że za chwilę skończy się to wszystko. Aparat tymczasem zniżał się coraz bardziej, słychać było jeszcze ciągle warkot motoru i śmigi.

Katastrofa rozegrała się na wysokości 11 metrów. Aparat niesiony ku ziemi uderzył w olbrzymie drzewo, którego średnica wynosiła 35 cm. Świerk ten na wysokości 11 metrów został jakby zupełnie ścięty i rozłupany, a wierzchołek jego odrzucony na odległość 34 kroków. Samolot tymczasem, zdruzgotawszy pierwszy świerk, uderzył o drugi, już znacznie cieńszy, stojący w odległości 11 kroków i owinął się zupełnie o niego. Wyglądał jak szmata nawinięta na kawałek drzewa. Wtedy nastąpiła eksplozja, zapaliła się benzyna, natychmiast jednak ulewny deszcz ją zagasił. Drzewo jednak jest dotąd na całej swojej wysokości osmolone.

(Ciąg dalszy na stronie 8-mej).



Żołnierz z IV. pułku Strzelców Podhalańskich, niosący odznaczenia i ordery zmarłych lotników, którzy za swój lot dookoła Europy otrzymali złote krzyże zasługi.

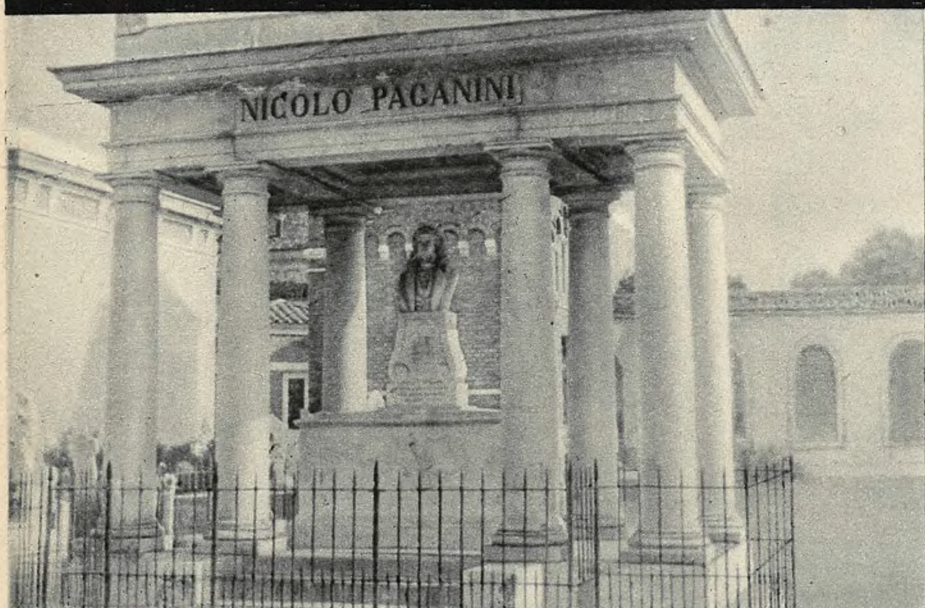


Oficerowie z IV. pułku Strzelców Podhalańskich, którzy odebrali trumnę ze zwłokami ś. p. por. Żwirki z rąk przedstawicieli Czechosłowacji, wkładają ją do karawanu po drugiej stronie Olzy w polskim Cieszynie.

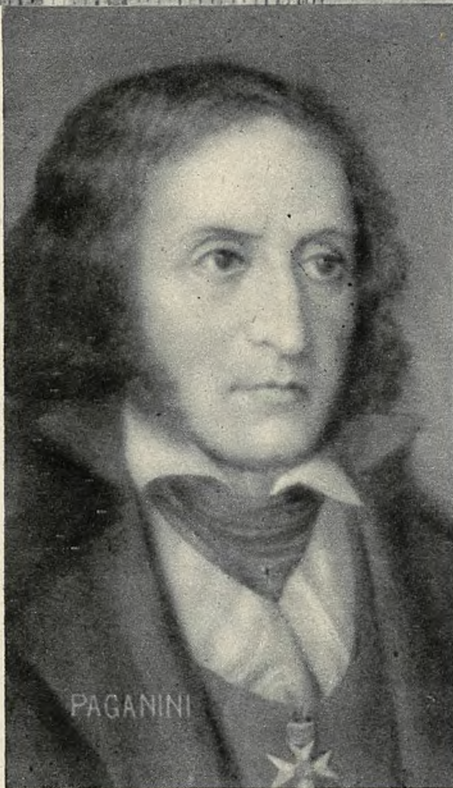


Siostra ś. p. inż. Wigury na pogrzebie swego brata w Cieszynie.

GROBOWIEC NICOLA PAGANINI.



Grobowiec Paganiniego w Parmie.



Nicolo Paganini, skrzypek, największy wirtuoz świata. Urodzony 27-go października 1782 w Genui — zmarł dnia 27-go maja 1840 w Nicei.

Do największych skrzypków świata należał Genueńczyk Nicolo Paganini. O jego grze na skrzypcach dotąd jeszcze krążą legendy. W latach około roku 1830 odbywał on podróże artystyczne po całej Europie i wszędzie swoją grą przykuwał tłumy, pobudzając ich zachwyt do chorobliwej egzaltacji szału. Paganini koncertował we Wiedniu, w Niemczech, Francji, Anglji a nawet w Warszawie, gdzie się spotkał z bardzo dla siebie niebezpiecznym konkurentem również znakomitym polskim skrzypkiem Karolem Lipińskim. W Warszawie toczyła się wtedy bardzo ostra polemika na temat wyższości gry obydwóch najsławniejszych skrzypków. Paganini swoją techniką i swoimi efektami artystycznymi, wreszcie swojem zewnętrznem zachowaniem się sugestjonował tłumy. Grał tylko własne b. trudne kompozycje. Gra jego była twórczą sztuką. Wyglądał potwornie. — Twarz chuda, blado-żółta, nos krogulczy, ręce długie, kościste, włosy długie kruczę — upodobniały go do demona. Paganini pod względem technicznym był skrzypkiem niezrównanym. Pasaże, staccata, flageolety, najwyższe rejestry tonów, tercje, oktawy, podwójne tryllery i t. d. wykonywał z największą doskonałością. Największą sensacją dla współczesnych były jego flageolety. Paganini nie znał żadnych trudności technicznych. Pozatem o jego burzliwem życiu opowiadano sobie wtedy sensacyjne legendy. Życie jego obfitowało w rozmaite romantyczne momenty i liczne przygody. Umarł wkońcu na gruźlicę w Nicei na Riwierze francuskiej dnia 27 maja 1840. Ponieważ umarł bez przyjęcia sakramentów, ówczesny biskup nicejski nie pozwolił na katolicki pogrzeb bezbożnika. Zabalsamowane zwłoki Paganiniego spoczywały najpierw w Lazaret de Villefranche pod Nizzą i dopiero po rewizji dokonanej z polecenia papieża dla stwierdzenia, że Paganini był prawowitym wyznawcą Kościoła, sprowadzono po 3 latach jego zwłoki najpierw do rodzinnego miasta Genui, następnie złożono je na cmentarzu niedaleko jego willi Gajone pod Parmą, a w końcu po 30 latach na miejscowym cmentarzu w Parmie. Dotąd w Parmie grobowiec Paganiniego dominuje na mejscowym cmentarzu.

Na grobowcu tym z białego marmuru wybudowanym, widnieje stary włoski napis następujący:

„Tutaj złożono popioły Nicola Paganiniego, który, wydobywaniem ze skrzypiec boskich tonów olśniewał niezrównanym geniuszem całą Europę a Italję otoczył nowym wieńcem sławy".

„Syn Achilles z Palermo wystawił ten pomnik na wieczną pamiątkę".

H. C.

KOBIETY, KTÓRE ŻYJĄ TYLKO DLA MIŁOŚCI.



Dziewczęta z Tahiti, tańczące hulę.

Niema na kuli ziemskiej drugiego miejsca, gdzieby kult miłości stał równie wysoko jak na wyspie Tahiti na Oceanie Spokojnym. Kobiety zdają się tam być stworzone tylko poto, aby kochać i być kochane. Chęć podobania się i wywołania uczucia miłości wypełnia całe ich jestestwo. Przystrojone w pióra, kwiaty, perły i muszle, przy dźwięku tamtamu, fletu i bębna oddają się tańcom w cieniu drzew kokosowych, a łagodne a zarazem namiętne ich ruchy, którym towarzyszy pieśń miłosna *koumoumou tenako* napełniają serca mężczyzn upojeniem i rozkoszą. Jeden z badaczy Tahiti Cook zastał na tych wyspach stowarzyszenia zwane arreoy, w których wszystkie kobiety należały do wszystkich mężczyzn. Dla mieszkańców Tahiti małżeństwo jest tylko uświęceniem miłości. Ludzie łączą się w małżeństwa, bo się kochają, a związek trwa tak długo, póki uczucie nie wygaśnie.

Dodać należy, że mieszkanki wysp Tahiti należą do najpiękniejszych kobiet na świecie. Cerę mają oliwkową, włosy krucze i olśniewającej białości zęby. Są doskonale zbudowane, smukłe i zgrabne, a przytem niezwykle silne. Odznaczają się niesłychaną muzykalnością, dzięki czemu rekrutują się z nich znakomite tancerki. Jeszcze do niedawna hołdowały one wpływom europejskim, pod wpływem których zaczęły zarzucać swoje dawne stroje. Obecnie jednak pod wpływem kryzysu urocze te kobiety uważając, że wszystko zło przynosi ze sobą nadmierne gonienie za zbytkami, pozrzucały europejskie suknie i wróciły do swoich opasek na biodrach.

SARDYNKI POWODEM REWOLUCYJNEGO WRZENIA.

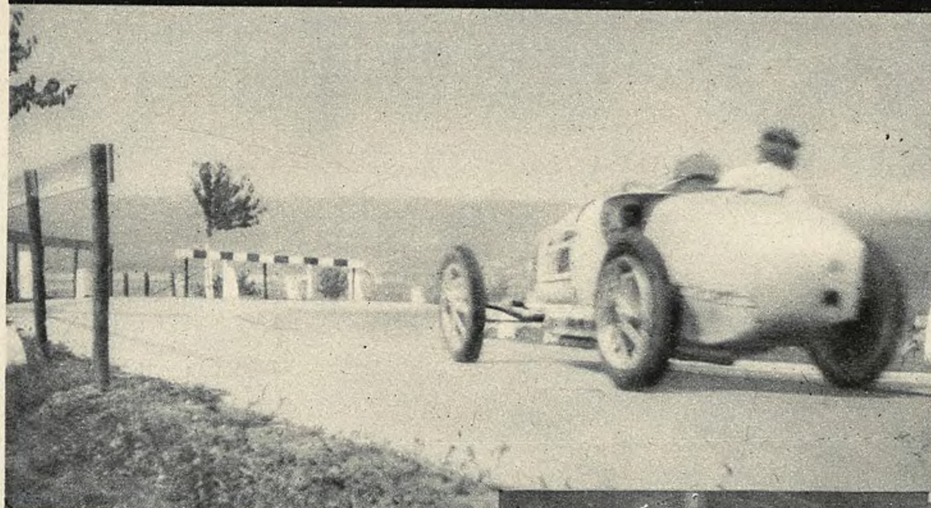


Rybak zajęty sortowaniem sardynek.

W Bretonji szerzy się obecnie ruch separatystyczny. Poczciwi rybacy bretońscy przypomnieli sobie nagle, że właściwie nie są Francuzami, ale tylko Celtami. Żądają więc daleko idącej autonomji, a nawet niektórzy z nich marzą o państwie niepodległem. Wyrazem tych odśrodkowych dążeń było wysadzenie w powietrze przez nieznanych zamachowców pomnika Zjednoczenia Bretonji z Francją w Rennes.

Są jeszcze jednak inne powody, dla których ludność Bretonji jest niezadowolona z Francji. Oto większa część mieszkańców tego ubogiego, skalistego kraju żyje z rybołóstwa, a przedewszystkiem połowu sardynek. Cóż jednak, kiedy w ostatnich czasach zbyt na sardynki jest coraz mniejszy, tak, że rybacy kilkakrotnie byli zmuszeni cały swój połów wrzucić z powrotem do wody, gdyż nikt nie chciał go kupić. Wobec tego zrozpaczeni Bretończycy wysłali specjalną delegację do Paryża z żądaniem, aby rząd zakupił większe ilości sardynek na potrzeby wojska. Jak dotąd sprawa ta jest w zawieszeniu, gdyż żołnierze niebardzo palą się do sardynek, wołąc od nich mięso, biedni Bretończycy czekają więc nadaremnie lepszego jutra. Nie potrzeba dodawać, że są rozgoryczeni do najwyższego stopnia i że ogarnęło ich wrzenie niemal rewolucyjne. Zamiast bowiem zarabiać na sardynkach, łowią je, a potem wrzucają do wody. A wszystko przez ten kryzys!

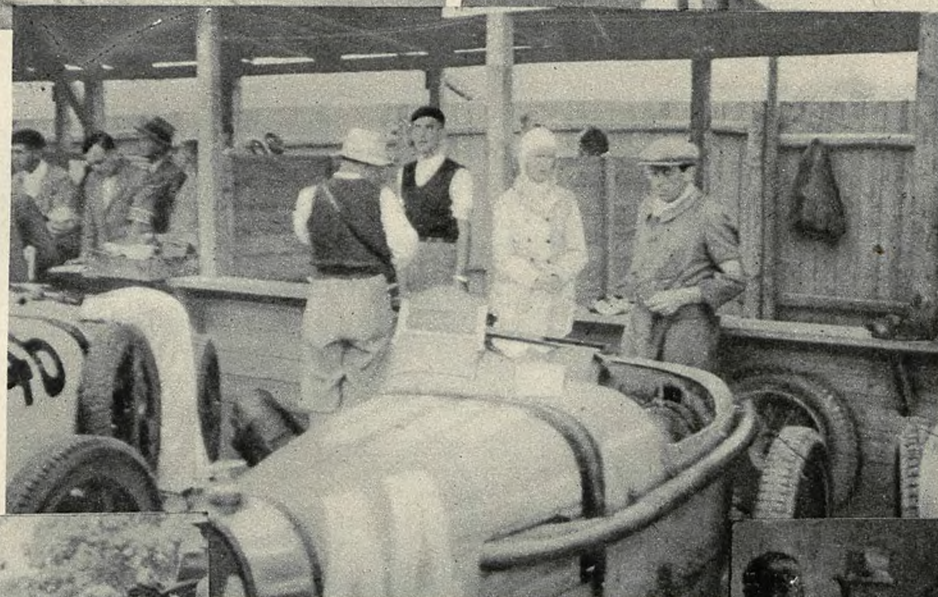
CHIRON CZY NUVOLARI?



Burggaler (Bugatti) zwycięzca w kategorji wozów słabszych zjeżdża z serpentyn.



Chiron na wozie Bugatti mija serpentyny koło Ostrovacice.

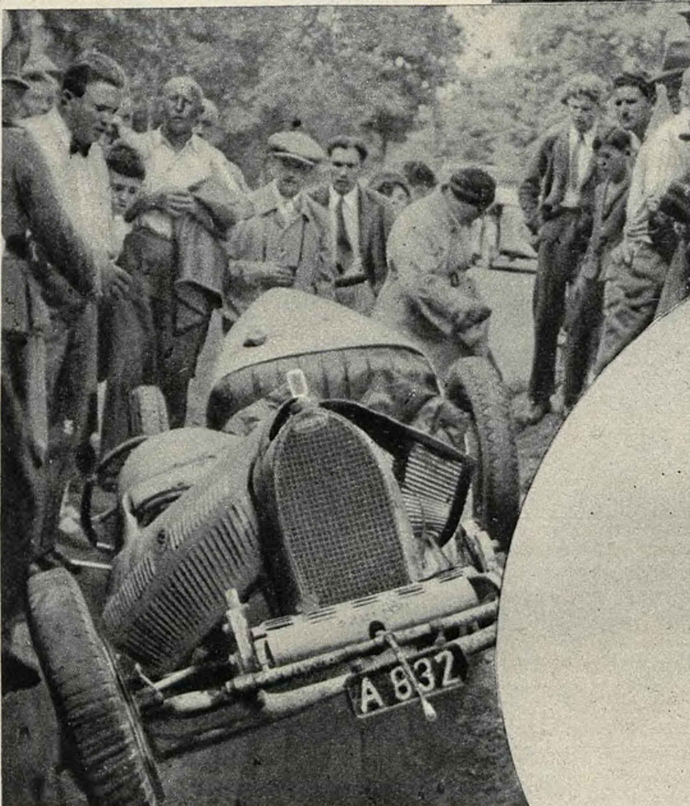


Jedyna zawodniczka p. Itier (Francja), wycofała się w drugiem okrążeniu, przekonawszy się widocznie, że to nie jest wyścig dla pań.

Chiron czy Nuvolari? Oto pytanie, które było na ustach 150.000 widzów, zebranych w dniu 4-go września wzdłuż 29-kilometrowej trasy największego czeskiego wyścigu samochodowego „Masarykuv Okruh". Szanse niemal że równe. Chiron, zeszłoroczny zwycięzca, niesłychanie opanowany i spokojny. Nuvolari, bożyszcze automobilizmu europejskiego, niewątpliwie najszczęśliwszy tegoroczny jeździec wyścigowy, posiada maszynę szybszą. Alfy-Romeo nabiły w tym roku wielokrotnie Bugattiego.

Wreszcie zbliża się oczekiwana godzina startu. 10 rasowych wyścigówek ustawia się dokładnie na wyznaczonych sobie miejscach. Ruch białą chorągiewką i 10 potężnych motorów 8-mio i 12-to cylindrowych zawyło całą swą mocą. Jakaż cudowna muzyka dla ucha automobilisty! Poszli! Upłynie najmniej 15 minut, zanim przepędzą przed trybunami. Kto przejedzie pierwszy? Wprawdzie to dopiero pierwsze okrążenie, a jest ich 17, ale przy równych wartościach jeźdźców wysunięcie się naprzód na początku wyścigu, może decydować o ostatecznem zwycięstwie. Przelatują w zawrotnem tempie 170 km. Pierwszy Borzacchini, za nim po chwili Chiron, tuż za Chironem Nuvolari. Publiczność podenerwowana. Wiemy już, że zanosi się na ostrą walkę. Znowu kilkanaście minut oczekiwania. Jadą. Kończą drugie okrążenie. Na pierwszem miejscu Nuvolari, potem Borzacchini, Chiron na trzeciem. Porządek ten utrzymuje się przez 9 okrążeń, tylko odstęp między Nuvolarim a Chironem powiększa się. Zwycięstwo Włocha zdaje się być przesądzonem. W 10-tem okrążeniu zatrzymuje się Nuvolari dla nabrania benzyny. Równocześnie Borzacchini wycofuje się z powodu defektu motoru. Tak. Nawet taka Alfa-Romeo może się zepsuć. Sytuacja się zmienia. Chiron prowadzi, a na drugie miejsce wysuwa się Fagioli na wozie Maserati. Nuvolari nabrał w błyskawicznem tempie 17 sekund benzynę i jedzie pełnym gazem, pragnąc wrócić na swoje pierwsze miejsce. Niestety, ma pecha. Na zakręcie wóz mu zarzuca i wjeżdża do rowu. Uszkodzenia niema, traci jednak kilka minut na wyprowadzenie wozu na szosę. Znowu jedno okrążenie w warjackiem tempie, ale szanse zwycięstwa bardzo zmalały. I znowu defekt Alfy-Romeo. Psuje mu się magneto. Nuvolari naprawia na trasie defekt i podjeżdża do swoich mechaników. 2 minuty trwa wymiana magneta. Aż rozkosz patrzeć na tą cudowną organizację i sprawność mechaników. Wśród burzy oklasków rusza Nuvolari. Jedzie, jak warjat już do końca wyścigu, ale nie jest w stanie dogonić Chirona i musi zadowolnić się trzeciem miejscem. Wśród szalonego entuzjazmu publiczności mija pierwszy metę Chiron. Zabłocony i brudny wysiada z wozu. Znać na nim zmęczenie nerwowe i fizyczne, ale oczy błyszczą mu radością zwycięstwa. Megafony grają Marsyljankę, publiczność wstaje i niemilknące brawa towarzyszą zwycięscy. Żegnaj Chironie. Zobaczymy Cię napewno w przyszłym roku na tem miejscu, jak w pięknej walce będziesz dążył do utrzymania, tym razem już po raz trzeci, palmy zwycięstwa w Swem ręku.

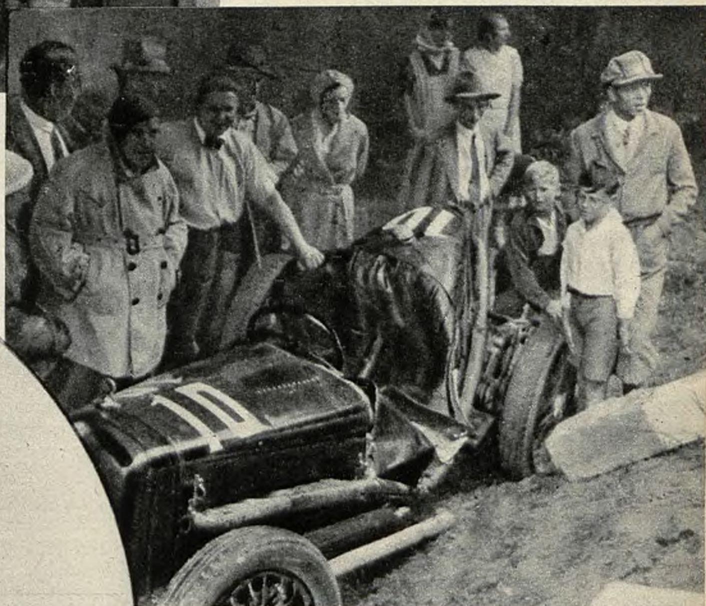
Z. Kw.



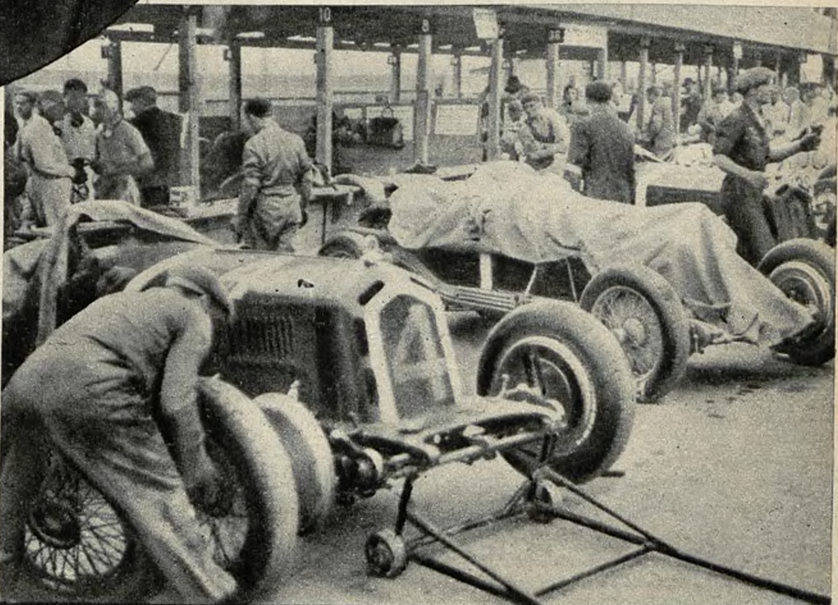
Bugatti austrjackiego kierowcy Mayera po katastrofie.



Zwycięzca wyścigu Franciszek Chiron.



Rozbiły w czasie treningu wóz asa włoskiego Sieny.



Team Alfa Romeo przed startem.

NA DACHACH EUROPY.



Alpy w rejonie Adelboden.



Na grani masywu Piz Vadzet w Alpach.



Karkołomna wspinaczka na szczyt Fergenhorn.

Wielka część globu ziemskiego nosi na sobie ślady pracy ludzkiej, trwającej przez długie tysiące lat. Cywilizacja wyryła na niej niezatarte znaki. Pokreśliła ją linjami kolei żelaznych, pod górami przekopała głębokie tunele, uregulowała brzegi rzek, lub połączyła je głębokiemi kanałami, pokryła ją gęstą siatką bitych dróg. Jedynie ocean, wielkie pustynie i góry oparły się tej robocie cywilizacyjnej.

Ocean pozwolił się opanować nawigacji ludzkiej, przecięła go ona licznemi szlakami parowców, zwalczających dzielnie potężny żywioł. Coraz więcej dróg prowadzi przez dalekie pustynie. Jedynie wysokie góry, pokryte wiecznym śniegiem i nie tającą skorupą lodowców zachowały niemal w pełni swą dziewiczość. Kolejki zębate i linowe czepiają się zaledwie zewnętrznych stoków gór, nie odważając się sięgać w ich głąb. Jest to pomnik przyrody, nietknięty ręką ludzką, jak umyślnie przez Stwórcę wystawiony na pamiątkę potężnych ruchów młodej skorupy ziemskiej.

Wędrowiec, zbliżający się ku wysokim górom pokrytym, jak Alpy, lodowcami, nie może odrazu odczuć ich grozy i majestatu. Długo iść będzie drogą przez ukwiecone doliny górskie nad brzegiem szumiących potoków, około błękitnych jezior górskich, osadzonych jak oczy w skalistem podłożu. Z każdym krokiem wyżej znikać będzie jego beztroska utwierdzana dotychczas przez łagodne i słodkie widoki dolin górskich.

Wkrótce zmaleje i zniknie roślinność, z za ramion i grzęd górskich wychylą się niesamowicie śmiałe, urwiste igły skalne, wydzierające się pod niebo z uścisku olbrzymich, białawych, spękanych cielsk lodowców. Twarz wędrowca, przyzwyczajonego do ciepłych, dolinnych podmuchów, owionie zimny, ożywczy, górski wiatr. Serce jego zabije silniej w majestatycznem otoczeniu skał i lodów.

Spotka go tu wszystko raczej — niż monotonja. Przyroda górska pokaże mu najosobliwsze i najbardziej czarujące kontrasty. Ciszę wczesnych godzin rannych przerwą głuche pomruki pękającego lodowca. Świst i huk spadających kamieni, gromy lawin walących się wśród białych obłoków śnieżnego pyłu. I znowu cisza późnego wieczoru, gdy mróz pęta skalne i lodowe bloki, powstrzymując biegi lawin.

Te kontrasty, zgromadzone na małej stosunkowo przestrzeni, maska ciszy, pod którą kryją się ustawiczne ruchy skał i lodów, oddawna przyciągały ludzi do siebie. W majestatycznym kościele skalnym gór człowiek inaczej czuje sam siebie i swego bliźniego. Groza gór zmusza do zgodnych wysiłków, do solidarności, do braterstwa w obliczu czyhających niebezpieczeństw. Zbliżanie się do przyrody wywoływa nieuchronnie zbliżenie się ludzi między sobą.

Mylne jest mniemanie, że poznawanie gór zbliska, poznanie labiryntu przejść skalnych i lodowych wymaga wyłącznie kwalifikacyj fizycznych ze strony wędrowców. Wymaga ich ono także. Pełne zdrowie, dobrze pracujące płuca, zdrowe serce, elastyczność mięśni i pewna siła fizyczna są nieodzowne, lecz najgłówniejsze kwalifikacje alpinisty leżą niewątpliwie w jego właściwościach duchowych.

Nie ograniczają się one jedynie do trafnej orjentacji na zawiłych nieraz drogach górskich, do uczciwego mierzenia zamiarów według sił, do rozsądnego przewidywania i unikania niebezpieczeństw, lecz w najwyższym stopniu dotykają kwestji odpowiedzialności człowieka za losy własne i losy ludzi, związanych z nim wspólną liną.

Partje górskie dobierają się z ludzi, mniej więcej równych sobie siłą fizyczną. Na długotrwałych i trudnych wyprawach nie decyduje jednak nigdy — o ile chodzi o alpinistów prawdziwie godnych tej nazwy — prawo silniejszego, lecz wręcz przeciwnie, prawo najsłabszego. W ciężkich wycieczkach lodowo-skalnych, trwających nieraz parę dni i nocy i obejmujących kilkakrotnie biwaki na wysokości ponad 4.000 m. — zdarza się czasami, że czyjeś siły, wytrzymałość fizyczna i nerwowa zawiodą. Cała partja zawrócić wtedy musi ze szlaku i zrezygnować z odbycia upragnionej wyprawy. Wszyscy wydobyć z siebie wówczas muszą maximum wysiłku, aby chorego, lub osłabłego towarzysza sprowadzić na dół drogą, nieraz trudniejszą, niż drogą zamierzoną w wyjściu.

Żaden inny sport nie stawia tylu przeszkód i prób, które przezwyciężyć musi wytrwały i szlachetny charakter ludzki — co alpinizm i dlatego słusznie go można nazwać najpiękniejszym, najszlachetniejszym ze sportów, o ile wogóle sama nazwa sportu może być zastosowana do stosunków człowieka z groźną, ale wspaniałą przyrodą górską, których terenem jest alpinizm.

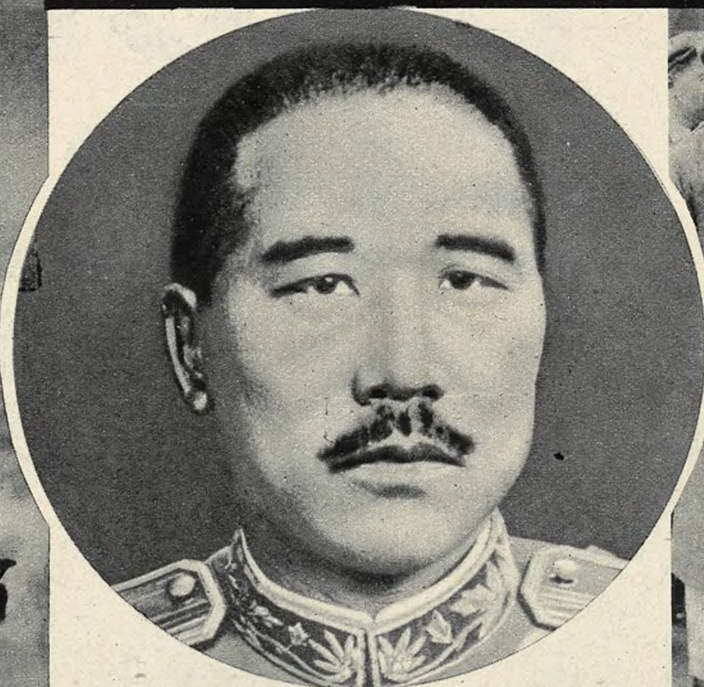
Alpiniści polscy, zjednoczeni w Klubie Wysokogórskim Polskiego Twa Tatrzańskiego, uważali głównie Tatry za właściwe pole swej działalności. Przynajmniej tak było dotychczas. Mimo, że — pomijając zdobywsze wyprawy Malczewskiego w Alpach, jak np. zdobycie Aiguille de Midi, wspaniałej igły lodowoskalnej w najbliższem sąsiedztwie Mont Blanc — w kilkudziesięciu ostatnich latach mogli się poszczycić wielu pięknemi wyprawami polskiemi Smoluchowskiego, Janczewskiego, Chmielowskiego i innych na terenie Alp.

W ostatnich latach, gdy ruch przygodnych wycieczkowiczów wzmógł się w Tatrach ogromnie, a Tatry okazały się zbyt małem polem turystyki wysokogórskiej dla 30-miljonowego kraju — obserwować można wśród elity polskich taterników dążenie do wyjścia poza zakres Tatr i spróbowania swych sił na terenie Alp. Dążenie to uwieńczone zostało dotychczas tak pięknemi sukcesami, jak drugie przejście w ciągu 20-tu lat południowej ściany Meije (rok 1931) i pierwsze polskie zdobycie najpiękniejszych dróg w Alpach: urwistych grani lodowych i śnieżnych, Peterest i Brenva.

rz.

REPORTAŻ ZE ŚWIATA.

DNI LOTNICZE W CLEVELAND. Tego roku w dniach lotniczych Cleveland bierze udział ze strony polskiej pułkownik Kossowski, znakomity akrobata powietrzny, który zdobył w konkurencjach jedno z czołowych miejsc. Na zakończenie zawodów akrobatycznych urządzono pokaz wojennej floty powietrznej Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, który wypadł imponująco. Szczególnie groźne i niesamowite wrażenie wywarł lot drużynowy samolotów bombowych, co widzimy na zdjęciu.



ZAMORDOWANIE GENERAŁA CHIŃSKIEGO. Na dworcu w Tsi-Nan-Fou został zastrzelony przez spiskowców generał Chang Tsun Chang (na zdjęciu). Przypuszczają, że w zamachu tym maczali ręce Japończycy, którzy chcieli się pozbyć generała, nie skłaniającego się do uznania niepodległości Mandżurji. Sytuacja na Dalekim Wschodzie jest w dalszym ciągu niewyjaśniona. Komisja Ligi Narodów, która badała problem mandżurski, powróciła już częściowo do Europy i złożyła raport bardzo nieprzychylny dla Japonji. W Mandżurji po dawnemu szerzy się anarchja, ostatnio zaś nieszczęśliwy ten kraj nawiedziła katastrofalna powódź, która, zniszczywszy plony, oddała blisko miljon ludzi na pastwę głodową.



ŚWIEŻE ZAJĄCE I KUROPATWY! Dnia 1-go września w hallach paryskich pojawiły się pierwsze zające i kuropatwy, powitane z niekłamaną radością przez miłośników zwierzyny (na zdjęciu). Z kuropatwami jest we Francji bardzo krucho, podobnie, jak we Włoszech, gdzie wytępiono je prawie zupełnie i gdzie nawet przepiórka uchodzi za grubego zwierza.



NIESŁYCHANA NAPAŚĆ NA PREZYDENTA HINDENBURGA. W tych dniach Hitler wygłosił w Monachjum namiętne przemówienie, skierowane przeciwko prez. Hindenburgowi. „Mój wielki przeciwnik" wołał przywódca brunatnych koszul, „ma lat 85, ja zaś tylko 43. Przyszłość więc należy do mnie, ponieważ Opatrzność powołała mnie do wielkich czynów". Charakterystycznem jest, że nawet najzagorzalsi Hitlerowcy przyjęli to cyniczne i brutalne wyzwanie prez. Hindenburga grobowem milczeniem. Na zdjęciu prezydent Hindenburg witany kwiatami w swojej letniej rezydencji Neudeck.



MANEWRY W PRUSACH WSCHODNICH. Niemcy starają się ludność Prus Wschodnich utrzymać w stanie ciągłego pogotowia wojennego, wmawiając w nią, że jest ona zagrożona napadem polskim. W tym celu na porządku dziennym są tam alarmy gazowe, lotnicze i manewry wojskowe, nie mówiąc już o agitacji politycznej. W tych dniach zostały tam zakończone wielkie manewry dywizyjne, w których wziął udział także minister Reichswehry von Schleicher. Na zdjęciu widzmy go, udzielającego przedstawicielom prasy zagranicznej wyjaśnień co do sprawy obrony Prus Wschodnich.

AUTEM z KRAKOWA DO GDYNI

Wczesnym rankiem opuszczaliśmy rogatki Krakowa.

Powietrze, aż pachło zielenią, słońce świeciło jasno, świeży wiatr, powiększony szybką jazdą smagał nam twarze. Lecz myśmy zimna nie czuli,



Narada nad złamanym resorem.

przeciwnie — było nam tak rozkosznie, tak ciepło, tak wesoło, tak młodo — „Tatra" nam wtórowała używając na otwartym tłumiku i mknąc, jak strzała na Krzeszowice, Trzebinię i Chrzanów.

W niespełna 2 godziny wjechaliśmy w las kominów i chmurę czarnych dymów Górnego Śląska — najbogatszą a obrazowo najsmutniejszą naszą dzielnicę. — Minąwszy z rozmachem Mysłowice, bierzemy na Będzin kierunek północny — lecz niestety zaraz po przejechaniu granicy b. Królestwa szosa zaświeciła rozpaczliwemi wybojami, Tatra poczęła stękać i skakać niesamowicie.

Koło 11-stej mały drugośniadaniowy postój i ruszamy dalej w prostej linji na Siewierz i Częstochowę. Droga staje się coraz beznadziejniejsza i pod względem technicznym i obrazowym. Piachy, wydmy, pustka — nigdzie wsi, nigdzie ludzi, a Tatra skacze, jak piłka i stęka i jęczy i wymyśla głośno na dziurawą, jak sito drogę.

Jedziemy coraz wolniej — w tem jakiś skok fantastyczny — w aucie coś jękło, aż mąż mój zaklął nieprzystojnie. „Fi donc" — zgromiłam go z miejsca. — „A jeżeli resor djabli wzięli? — tłómaczy się szofer żałośnie. Po tej djagnozie nadstawiamy pilnie ucha, posępniejąc coraz więcej. Za każdym wybojem wóz stęka i dzwoni — stajemy; resor złamany — i to nie jedno, ale kilka piór.

Znieruchomiałam, jak żona Lota zamieniona w słup soli ze zgrozy — a moi trzej towarzysze klęczą nad złamanym resorem z rozpaczą we wzroku. Co tu począć! Pustka zupełna dokoła, droga dalej pod zdechłym azorkiem, a od Częstochowy, pierwszego większego miasta, gdzie ewentualnie są szanse kupienia nowego resoru dzieli nas około 50 km. drogi.

Ale „il ne faut jamais desesperer de rien!" — specjalnie automobiliście. Z ciężkiem sercem ładujemy się znów do wozu i nasza dzielna wyścigówka rusza, jak biedna kaleka o kiju żebraczym, bo złamany resor podtrzymuje przymocowany prowizorycznie potężny kloc drzewa. Wskazówka tachometra waha się leniwie między 10—20 km., pozbawiony resoru wóz trzęsie rozpaczliwie.

Mija godzina jedna, druga, my tłuczemy się wciąż jednakowo. Wreszcie dobijamy do Częstochowy. — Szczęście nam sprzyja. W reprezentacji Tatry resor odpowiedni znajduje się na składzie, a bardzo uprzejmi właściciele warsztatów automobilowych podejmują się, mimo święta, wymiany resoru.

Pokrzepieni obiadem, o godz. 5 i pół po południu rozpoczynamy dalszą drogę, wjeżdżając na wieluńską szosę.



Na nowej autostradzie, biegnącej wzdłuż polskiego wybrzeża. Budowa jej kosztowała 6 miljonów złotych.

Niebo się tymczasem zaciągło, deszcz mżył — skrzydła nam trochę opadły i okroiwszy wybujałe ranne ambicje, nie śniliśmy już nawet o Poznaniu — tylko zadawalniamy się Kępnem.

Mimo złej drogi i przykrego deszczu, życzenia te zrealizowały się.

Nazajutrz skoro świt auto uwoziło nas ku sercu Wielkopolski. Tatra mknęła teraz z chyżością jaskółki po szosach świetnych, równych jak stół. Zapominając, że gdzieś za nami zostały dziury, wyboje, strzaskane resory i drewniane kloce, jechaliśmy, jak na nartach drogami pozbawionemi zdradzieckich zakrętów, prostemi jak strzelił. Drogi te mają jeszcze jedną zaletę — prawie całkiem niema na nich kurzu, a to dlatego, że dróżnicy nie żałują piasku, tylko stale świeżą warstwą przysypują nawierzchnię szosy.

Stosując się do informacyj, otrzymanych w Kępnie zostawiamy Poznań na boku, jadąc przez historyczny Mirosław i Wrześnię wprost do Gniezna, gdzie też przybywamy przed 12-tą. Spotykamy się tam na wstępie z artystą-malarzem Sz. z Krakowa, idziemy więc razem na obiad do pobliskiej restauracji, ja jedna kobieta w towarzystwie czterech młodych mężczyzn.

Ku wielkiemu mojemu zaciekawieniu malarz zamawia tajemniczą potrawę: „skibki". Pokazuje się, że „skibkami" nazywają „kanapki" w tamtych stronach, co wywołuje wesołość ogólną, no i w rezultacie każemy sobie dać cały pakiet „podwójnych skibek" na drogę.

Nie można być w Gnieźnie, a nie zwiedzić czcigodnej wspaniałej katedry, nie pomodlić się u grobu św. Wojciecha i Dąbrówki. W czasie tej pielgrzymki zaskoczyła nas burza z ulewą i piorunami i chociaż główne jej nasilenie przeczekaliśmy w kościele, jednak w deszczu trzeba było ruszać w dalszą drogę.

Świat sposępniał, zszarzał, a jazda pod budą traci znaczną część uroku. Na szczęście, że szosa doskonała pozwala nadal rozwijać dużą chyżość, mimo deszczu.

Jazda przez Wielkopolskę nastręcza dużo ładnych widoków na malownicze jeziora, oprawne w ramę lasów, lub bujną, soczystą zieleń łąk. Jednakże niema piękniejszego obrazowo odcinka, jak Gniezno — Rogowo — Bydgoszcz. Wjeżdża się tam w jakąś urokliwą krainę jezior drobnych i wielkich o przeróżnych kształtach, nabożnie cichych w otoczeniu zielonych gąszczy, z żółtemi i białemi nenufarami drzemiącemi nad ciemną tonią — to znowu wesołych, jasnych, złoto migocąco w słońcu, szumnych trzciną i szuwarem, gwarnych bogactwem wodnego ptactwa gnieżdżącego się w sitowiu i pluskającego radośnie na połyskliwych falach.

Między 5-tą a 6-tą stajemy w Bydgoszczy, no i Pomorze otwiera przed nami szeroko swe wrota. Mkniemy na Kościerzynę, bez tchu, bez pamięci 80 km. na godzinę. Pospiech uzasadniony, gdyż od Gdyni dzieli nas jeszcze blisko 200 km. drogi. Minąwszy serpentyny malowniczego Koronowa, jedziemy drogą skąpaną w słońcu, pustą, równą do znudzenia. Lecz właśnie w kierunku, gdzie strzelała nasza droga, ciężka, czarna chmura zaległa firmament, a jaskrawe zygzaki piorunów stawały się co chwilę ognistym łącznikiem między niebem a ziemią. Obraz ten miał w sobie dużo groźnego piękna, lecz dla automobilistów, którzy mają jeszcze daleki cel przed sobą, jechać tak pod wieczór prosto w wielką burzę, to wcale nie nęcąca perspektywa. Zaczęło się ściemniać niespodziewanie gwałtownie. Wkrótce szalona ulewa chwyciła nas w swe objęcia, bengalskie ognie błyskawic rozjaśniały tylko smętną szarugę — pioruny strzelały tu i tam, jeden z nich zarył się ostrem cięciem w ciemną toń leśnego jeziora, drzemiącego z lewej strony drogi.



Odpoczynek w cieniu sieci rybackich.

Nie tracąc fantazji, chcieliśmy burzę wyprzedzić, lecz chmury zerwały się do dzikiego z nami wyścigu. Noc zapadła zupełna, szosa stawała się coraz gorsza i coraz bardziej oślizgła. — Gdy o 9-tej mokrzy, zabłoceni, głodni wjeżdżaliśmy w ulice Kościerzyny, gdy ujrzałam zaciszne domy i światło w oknach, coś się we mnie zbuntowało na burzę, ciemność i 80 km. czarnej, nieznanej drogi, które dzieliły nas jeszcze od właściwego celu: Gdyni. — I z nagłą energją uzurpując sobie duchowe przewodnictwo ekspedycji, zawołałam: „Stańmy przed pierwszym spotkanym hotelem, bo dziś nie jadę już dalej!" — Wniosek ten został jednogłośnie przyjęty.

Nazajutrz wypoczęci, odświeżeni, rozradowani słoneczną pogodą, ożywieni kawalerską fantazją, ruszyliśmy przez Kartuzy, Chylonję, serpentynami Kaszubskiej Szwajcarji, olśniewającej zielenią, tchnącej już szerokim, słonym oddechem pobliskiego morza — wprost na Gdynię.

Czaiła się ona długo za zieloną zwartą ścianą rozległych, liściastych lasów, które kryją zazdrośnie niemal że do ostatnich kilometrów przed stęsknionym wzrokiem podróżnych dwa cudy: — Cud przyrody — wspaniałe i rozkoszne, wyzłocone słońcem, lub spienione wichrem — jedyne, najpiękniejsze, bo nasze polskie morze! — A drugi cud — wyrasta tam, gdzie słone fale srebrzystą lamą pian całują złoty piasek wybrzeża, gdzie w przeciągu krótkiego 13-stolecia niepodległości wyrosło z nagich, pustych wydm imponujące miasto-port i rośnie z amerykańskim rozmachem, dumnie strzelając ku niebu z okazałością 5-piętrowych gmachów, dymem fabrycznych kominów i lasem masztów w portowych, najnowocześniej urządzonych basenach.

Wielkomiejską, asfaltowaną ulicą auto wdziera się chyżo w samo serce Gdyni. Wzrok z rozkoszą wpija się w modre fale, wchłania tak już dobrze znany, a tak wciąż zmienny, różnobarwny widok. Na powitanie nasze wieje wiatr od morza zdrowy, świeży i ożywczy...

Aż wreszcie cud trzeci, który rodzi się w duszy każdego Polaka, gdy stanie twarzą w twarz z dumnym polskim portem, zbiorowym, tytanicznym wysiłkiem duszy i woli całego narodu, który tym wspaniałym wyczynem okazuje olbrzymią żywotność i twórczość społeczeństwa — gdy spojrzy oko w oko polskiemu morzu, które tchnie samem zdrowiem, samą siłą i wznieca wiarę w nasze narodowe siły — nadzieję w naszą pomyślną przyszłość — i miłość, miłość żywiołową do tego dumnego morza i pięknego brzegu. Nigdzie może, jak kraj szeroki i długi nie czuje się tak Polski żywo, namacalnie — nie słyszy tak jej zdrowo bijącego serca i szybkiego tętna szlachetnej krwi, jak gdy ujrzymy — Gdynię — miasto-port, miasto-cud wyrosłe z fal polskiego Bałtyku, niby cudowną baśń o sławie — z żelaza i betonu wzniesiony pomnik naszej Niepodległości.

NA STRUNACH MISTRZOWSKICH RAKIET POLSKI.

Kraków — we wrześniu.

Jeszcze nie przeminęły echa sukcesu „uśmiechniętej Jadzi“ w Berlinie, gdzie pobiła ona mistrzynię Stanów Zjednoczonych Helen Jacobs, a już drugi, na wielką miarę zakrojony wynik spotkania: Hebda—Roderich Menzel w Warszawie olśnił tysięczne rzesze zwolenników białego sportu.

Na strunach naszych rakiet rozdźwięczały pierwsze, wielkie zwycięstwa...

— — — — — — — — — — — — —

Józef Hebda?

Kto jest ten uśmiechnięty młodzieniec? — pytano zewsząd na trybunach, okalających reprezentacyjny *en tout cas* warszawskiej Legji. Nieliczni tylko wiedzieli, że na dalekich krańcach Polski, tam, gdzie *„wschód styka się z zachodem“*, zakwitł i rozwija się olbrzymi talent; nieliczni tylko zdawali sobie sprawę z możliwości *„latającego Lwowianina“*.

Ale nikt zapewne z pośród garstki entuzjastów tego talentu nie marzył o tak błyskawicznej karjerze sympatycznego sportowca. Nazwisko Hebdy wypłynęło zeszłego roku na szpalty dzienników; zastanawiano się nad rolą, jaką on odegrać mógł na ówczesnych mistrzostwach i... potrząsano głowami z powątpiewaniem.

Przyznawano mu wiele, ale... Właśnie nie obeszło się bez tego *„ale“*. I rzeczywiście Hebda nie pokazał wtedy niczego nadzwyczajnego. Doszedł wprawdzie do półfinału, ale stało się to głównie dlatego, ponieważ na drodze do niego spotkał słabszych przeciwników, a ostatnią grę zdobył nawet walkowerem. — W półfinale uległ Maksowi Stolarowowi niemal bez walki, w trzech setach (6:3, 6:4, 6:4).

— — — — — — — — — — — — —

A dziś?

Od pierwszego uderzenia jego rakiety można było wyczuć, że „coś się święci“. Podziwiano jego równą i spokojną grę; entuzjazmowano się mistrzowskiemi pociągnięciami taktycznemi; żałowano każdego auta i siatki.

Hebda grał wprawdzie z początku z wielką nonszalancją. Marnował wiele łatwych piłek; jednem słowem nie przemęczał się. Nie przeszkodziło mu to jednak w formalnem *„rozkładaniu“* swych początkowych przeciwników. Dopiero w półfinale spotkał się ze swym zeszłorocznym pogromcą i wzniósł się w tym meczu na wyżyny naprawdę światowego tenisu. I tu rozpoczyna się cicha tragedja Lwowianina. „Znawcy“ zabierają głos i stwierdzają, że Maks uległ mu z powodu słabej swej formy, którą okazał już poprzednio w wielu prowincjonalnych turniejach (Zakopane, Rabka). Tymczasem dla tych, którzy śledzili zeszłoroczne spotkanie Stolarowa z mistrzem świata Cochetem, było jasnem, iż Polak i tym razem grał jeden ze swych lepszych meczów. Taktyka Maksa mogła zadowolić najwybredniejszego sportsmana; jego wysiłek fizyczny był imponujący, styl gry jemu właściwy, zachwycał nawet tych, którzy sercem całem byli przy Lwowianinie. Cóż, kiedy kondycja psychiczna, ta istna plaga naszych zawodników, zawiodła, jak zwykle i tym razem! Zeszłoroczny pogromca — uległ dziś ogromowi opanowania, człowiekowi zda się bez nerwów, który umiejętnie wytrzymując atak przeciwnika, badał jego słabe strony i w momencie najlepiej do tego wybranym, potrafił kończyć piłkę bezapelacyjnie.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA AG. FOT. „ŚWIATOWIDA“.

Trzy sety spotkania, zapisane na dobro Hebdy, mówią najlepiej o wartości tego rewanżu.

— — — — — — — — — — — — —

Finał!

Kto żyw, pędzi na korty krakowskiego A. Z. S.-u. Rozległe trybuny zapełniają się wytworną publicznością, dla której turniej ten jest wyjątkową atrakcją. W jednym rogu zgrupowali się tutejsi tenisiści. Tam prowadzi się ożywione rozmowy na temat: kto zwycięży? Rozważa atuty przeciwników, omawia ostatnie spotkania.

— Hebda będzie miał ciężką z nim przeprawę — troska się piękna zawodniczka.

— Jeśli Tłoczyński tak zagra, jak z Tarłowskim, to Hebda nic nie poradzi — mędrkuje jej towarzysz. Te i tym podobne zdania padają wokoło. Tymczasem na kort centralny wbiega *„latający Lwowianin“* (nazwa urobiona od przezwiska Borotry). Tłoczyński wkracza majestatycznie, opromieniony aureolą mistrza Polski i Walji, który dzień przedtem rozgromił w doubleu niepokonaną dotąd parę braci Stolarow.

Rozpoczyna się wielka partja.

Pierwsze gemy, to zwykła próba sił. Przeciwnicy grają ostrożnie... piłka wędruje po kilkanaście razy z jednej strony kortu na drugą, by wkońcu stać się łupem lepiej przygotowanego. Wreszcie Tłoczyński ma już dość takiej gry. Zaczyna atakować. Na rogi pola, gdzie walczy Hebda, leci serja bomb-driveów, z trudem odparowana, aż kończy ją wysoki lob Lwowianina, który Tłoczyński wygrywa udanym smathem. 40:30 dla mistrza Walji! Lecz tu kończy się przewaga. Lwowianin serwuje, a potem, zda się, ściga własną piłkę do siatki! Takim jest jego start! Odbicie Tłoczyńskiego, choć świetnie plasowane, nie może go minąć. Z voleya opada w miejscu, do którego już dobiec niepodobna. Drugi set wygrany!

— — — — — — — — — — — — —

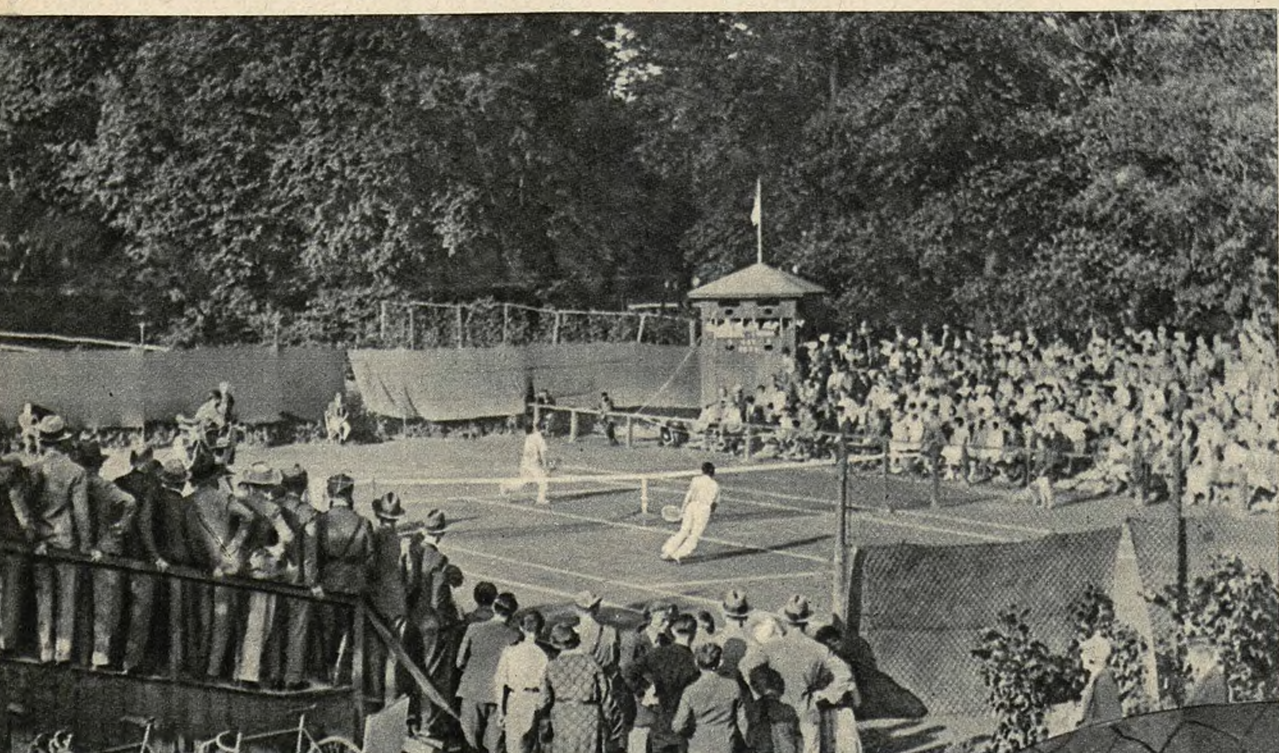
Gdy Hebda ukończył grę, w której poraz drugi, w okresie kilkunastu dni pokonał mistrza Polski, tym razem bezapelacyjnie, bo w trzech i to dobrych setach (8:6, 6:3, 6:1), ludzie przecierali oczy. Wierzyć się doprawdy nie chciało, że gracz tej miary żyje wśród nas. Dzieje jego tenisowej karjery dopiero w tym momencie stały się tematem dla tych, którzy dotychczas interesowali się jednostką. A dzieje te są smutne, jak smutnym jest los tego, kto o własnych siłach, przez wielu ignorowany, przebija się ku jaśniejszej przyszłości.

Obecnie nie ulega wątpliwości, że takie sukcesy *zrobią swoje*. Stolica, łaknąca talentów, zagarnie i jego. Na dalekich krańcach Rzeczypospolitej, tam, gdzie *„wschód styka się z zachodem“*, pozostanie wspomnienie po *„latającym Lwowianinie“*.

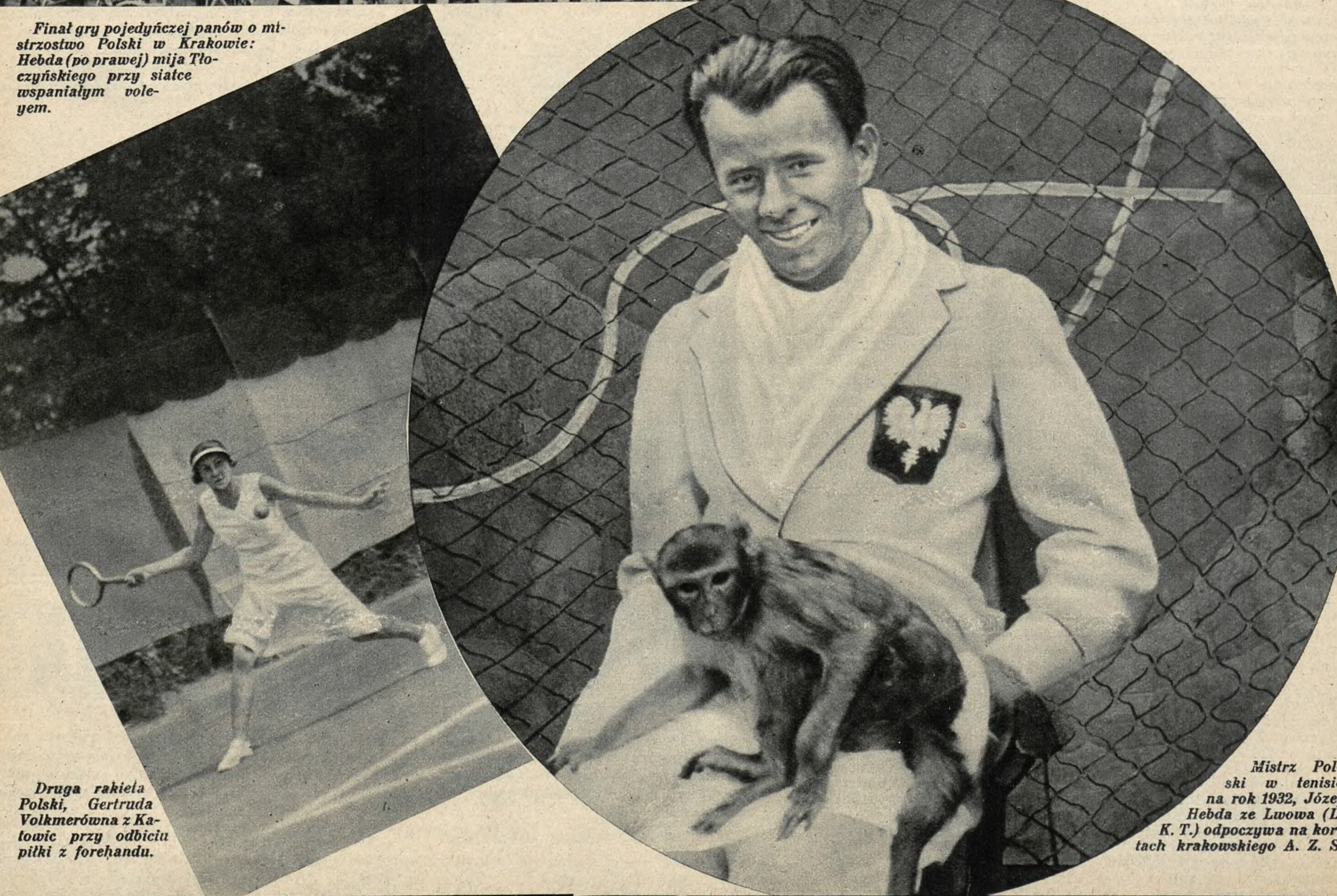
Na strunach jego rakiety zadźwięczą nowe, już tylko *„stoleczne“* zwycięstwa...

A potem... potem? Rolland Garros, Wimbledon!

J. Leo



Finał gry pojedyńczej panów o mistrzostwo Polski w Krakowie: Hebda (po prawej) mija Tłoczyńskiego przy siatce wspaniałym voleyem.



Druga rakieta Polski, Gertruda Volkmerówna z Katowic przy odbiciu piłki z forehandu.

Mistrz Polski w tenisie na rok 1932, Józef Hebda ze Lwowa (L. K. T.) odpoczywa na kortach krakowskiego A. Z. S.

Kierownik rozgrywek na ostatnich mistrzostwach Polski w Krakowie, p. Mahlsburg z krakowskiego A. Z. S.-u.



W chwilach wolnych od rozgrywek, panował przy bufecie A. Z. S.-u ożywiony ruch zawodników. Stoją od lewej: Ciężak (A. Z. S., Kraków), Neumannówna i Rudowska z Warszawy, oraz Parafińska (Sokół, Kraków) i Szeraucówna (A. Z. S., Kraków).



Trybuna prawa centralnego kortu A. Z. S.-u w Krakowie, zapełniona po brzegi wytworną publicznością podczas meczu Tłoczyński-Wittman.

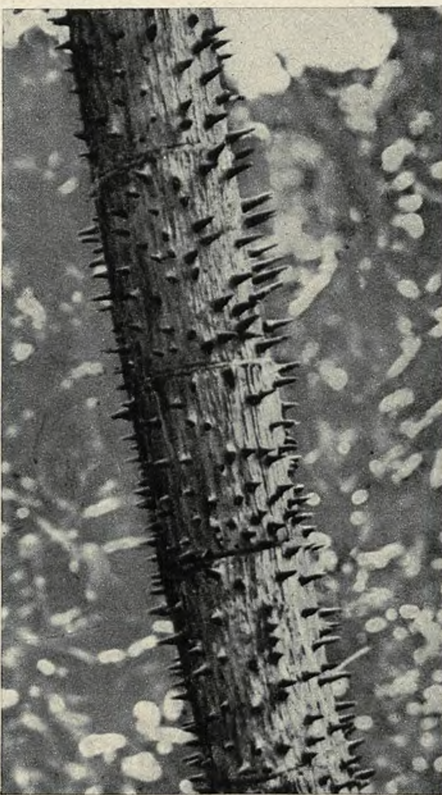
WŚRÓD POSZUKIWACZY DJAMENTÓW W MATTO GROSSO.

Indjanie na rzece Śmierci w stanie Matto Grosso, w Brazylji. Stan ten co do obszaru jest większy od Polski, Niemiec i Francji razem wziętych. Zamieszkuje go 250 tysięcy mieszkańców, przeważnie Indjan. W rzekach w Matto Grosso znajduje się żwir djamentowy.

Od dziesiątek lat ściągają do Matto Grasso w Brazylji awanturnicy i wykolejeńcy z całego świata, opanowani chęcią szybkiego wzbogacenia się. Rzeki bowiem w Matto Grasso słyną z obfitości djamentów. Rzeki te, jak Rio das Garcas, Aquidanama, Rio das Mortes (řzeka śmerci) płyną przez okolice dzikie i puste. Naokół nich rozciąga się bezmierna puszcza, pełna zgiełkliwych małp i różnokolorowych papug. W cieniu odwiecznych drzew, po bagnistym gruncie, wśród butwiejących pni pełzają jadowite węże, a w powietrzu unoszą się miljardy dokuczliwych komarów i różnych much, których ukąszenie powoduje śmiertelne choroby. Podróżny jest tu zdany tylko na własne siły. Od najbliższych osad dzielą go setki kilometrów. Na każdym kroku czyha na niego niebezpieczeństwo. Trzeba się tu strzec nietylko dzikich plemion indyjskich, nietylko krwiożerczych jaguarów i aligatorów, ale przedewszystkiem złych ludzi. Człowiek jest tu dla człowieka wilkiem i biada mu, jeżeli zapuści się w te strony bez broni. Czasem rozlega się tu przeraźliwy krzyk mordowanej ofiary, którą napadnięto znienacka, aby wydrzeć jej dorobek szczęśliwych dni, mały mieszek z djamentami. Ale zaraz potem niezmącona cisza bierze dżunglę w swoje władztwo.

Dobywanie djamentów w Matto Grosso odbywa się w sposób bardzo prymitywny. Poszukiwacze dzielą się na t. zw. Garinpeirów, czyli zawodowców i Faiscadorów, czyli amatorów. Bardzo często, poszczególni poszukiwacze robią umowę z przedsiębiorcą, który bierze na siebie obowiązek dostarczenia odpowiednich narzędzi i jedzenia, w zamian za co bierze dla siebie 50% zysków brutto. Poszczególne grupy składają się od 10 do 20 robotników. W miejscach, gdzie spodziewane są większe partje djamentów, zagradzą się znaczniejsze odcinki rzeki i osusza je sztucznie, skierowując wodę w boczne koryto. Prace te są bardzo ciężkie i może sobie na nie pozwolić tylko przedsiębiorca, rozporządzający znacznym kapitałem. Czasami powódź w kilku godzinach niszczy pracę całych miesięcy. W takim wypadku robotnicy nie otrzymują żadnego wynagrodzenia poza jedzeniem.

Jeżeli w jakiejś nieznanej dotychczas miejscowości uda się komuś znaleźć większy djament, wtedy wieść o tem lotem błyskawicy rozchodzi się po całej okolicy i ze wszech stron zbiegają się poszukiwacze i zabierają sę gorączkowo do pracy. Każdy z nich wydobywa ogromne masy szutru z dna rzeki, a później przemywa go. Naturalnie zaraz na tem miejscu powstaje nowa osada, a jak grzyby po deszczu wyrastają całe szeregi domków, zbudowane naprędce z bambusu i liści palmowych. Szałasy te zwą się „Buriti". Zaraz potem zaczynają w to miejsce nadciągać kupcy, spekulanci i przedsiębiorcy, zakładając sklepy, domy gry, kawiarnie i nocne spelunki.



Dziwaczne drzewo z puszczy brazylijskiej. Pień jego pokryty jest grubemi kolcami.

Poszukiwacze djamentów nie należą do skąpców. To też wyrzucają pieniądze pełnemi garściami i bardzo często w paru godzinach przepuszczają to, co zarobili w ciągu całego życia. W obozach takich kwitnie także spekulacja. Kupuje się i sprzedaje lotny szuter djamentowy nieumyty, a czasami do takich transakcyj, które mogą przynieść ogromny majątek, albo też nie dać żadnych zysków, przystępuje dziesiątki wspólników. O pewnym czasie, kiedy dno jest już zupełnie wyeksploatowane, cała ta gromada spekulantów przerzuca się w inne strony. Ludzie odchodzą, domki rozlatują się i wkrótce niczem niezmącona majestatyczna cisza panuje w miejscu, gdzie wczoraj kipiało nerwowe, gorączkowe życie.

Garinpeiro jest naogół uczciwy, zabobonny, pełen wiary w złotą przyszłość. Lata spędza on na nieustannej tułaczce od jednej rzeki do drugiej. Żadne powodzenie go nie zniechęca, sto razy odchodzi i sto razy powraca w to samo miejsce. Całe swe mienie nosi w worku, zarzuconym na plecy. Pali tytoń owinięty w liście kukurydziane i żywi się przeważnie suchem, wędzonem mięsem. Obok tych poszukiwaczy, posługujących się naprymitywniejszemi i staroświeckiemi metodami są i tacy, którzy pracują przy pomocy aparatów nurkowych. Pozwalają im one przebywać na dnie rzeki od dwóch do czterech godzin.

Bardzo ważną czynnością jest przemywanie szutru. Najprzód zostaje on obmyty w blaszanej misie, której dno jest podziurawione. Dno to przepuszcza tylko piasek, wskutek potrząsania tą misą drobne kamyczki i djamenty, jako cięższe zbierają się na wierzchu, piasek zaś sypie się na ziemię.

Wśród poszukiwaczy djamentów nie brak i Polaków. Obecnie w Matto Grosso ruch wzmógł się niebywale. Na całym bowiem świecie jest teraz haussa na brylanty. Podskoczyły one w cenie prawie o 40%. Brylanty znów są modne.

Jerzy Roman Schulz,



Płukanie żwiru djamentowego.



Polscy poszukiwacze djamentów w Matto Grosso.

OD SWETERKA DO FUTERKA.

Przemiłą nowością ubiegłej wiosny były bluzeczki i sweterki szydełkowane z miękkiej wełny we wszystkich kolorach tęczy. A były zbyt praktyczne i twarzowe, aby mogły się ich panie wyrzec w porze nadchodzącej jesiennej pory. Więc nosi się je w dalszym ciągu i dopiero w zimie zastąpią je cieplejsze sportowe swetery i pullowery.

Ale szydełkowe sweterki nie wystarczą na jesienne chłody, gdy trzeba na ulicę wziąć jakieś cieplejsze okrycie. Celowi temu czynią zadość bardzo teraz modne żakieciki futrzane.

Jeszcze na wyścigach letnich w Auteuil prezentowano różnorodne modele jesiennych futer, wśród których odznaczały się wielką świeżością i elegancją młodociane żakieciki. Na chłodniejsze lecz słoneczne dni jesienne moda ta jest nietylko miła i praktyczna, ale efektowna i szczególnie elegancka.

Bo moda jakby równocześnie wysiliwszy się z całą naturą na dostarczenie pięknym paniom strojów odpowiednich do przepychu wiosny i lata — zdaje się powściągać w jesieni w dążnościach zdobniczych na korzyść momentów praktycznych. Jest to zgodne w zupełności z naszemi potrzebami w jesieni, która składa się przeważnie z dni pochmurnych i słotnych, kiedy nosić musimy płaszcze, parasole i kalosze.

Kiedy jednak jeszcze zdarzają się pogodne słoneczne dni, jakże miło mieć w swej garderobie coś efektownego do ubrania na ulicę. Temu celowi odpowiadają żakieciki futrzane. Nie wykonuje się ich jednakże z cenniejszych futer, które służą do wyrobu płaszczy zimowych, a tylko najczęściej z krótko strzyżonych skór jagniąt farbowanych lub naturalnych, ozdobionych kołnierzami i mankietami z szlachetnych futer.

Żakiecik taki ubrany na wełnianą sukienkę do spodniczki z bluzą lub szydełkowym sweterkiem, jest przemiłem zjawiskiem w dziedzinie jesiennych ubiorów i niewątpliwie przyjęty będzie z aplauzem przez płeć piękną.

Na Jasnym Brzegu pojawiła się nowość futrzana, której ekscentryczności trudno nie zanotować. Są to futrzane kostjumy kąpielowe. Nowoczesne syreny rzucają się w objęcia fal przybrane w obcisłe „trykoty" z selskinów i gronostaji. Jakie zalety okażą te kostjumy kąpielowe w praktyce, usłyszymy niebawem.

W. W.



Urocza bluzeczka wełniana szydełkowa granatowa z jasno niebieskim.





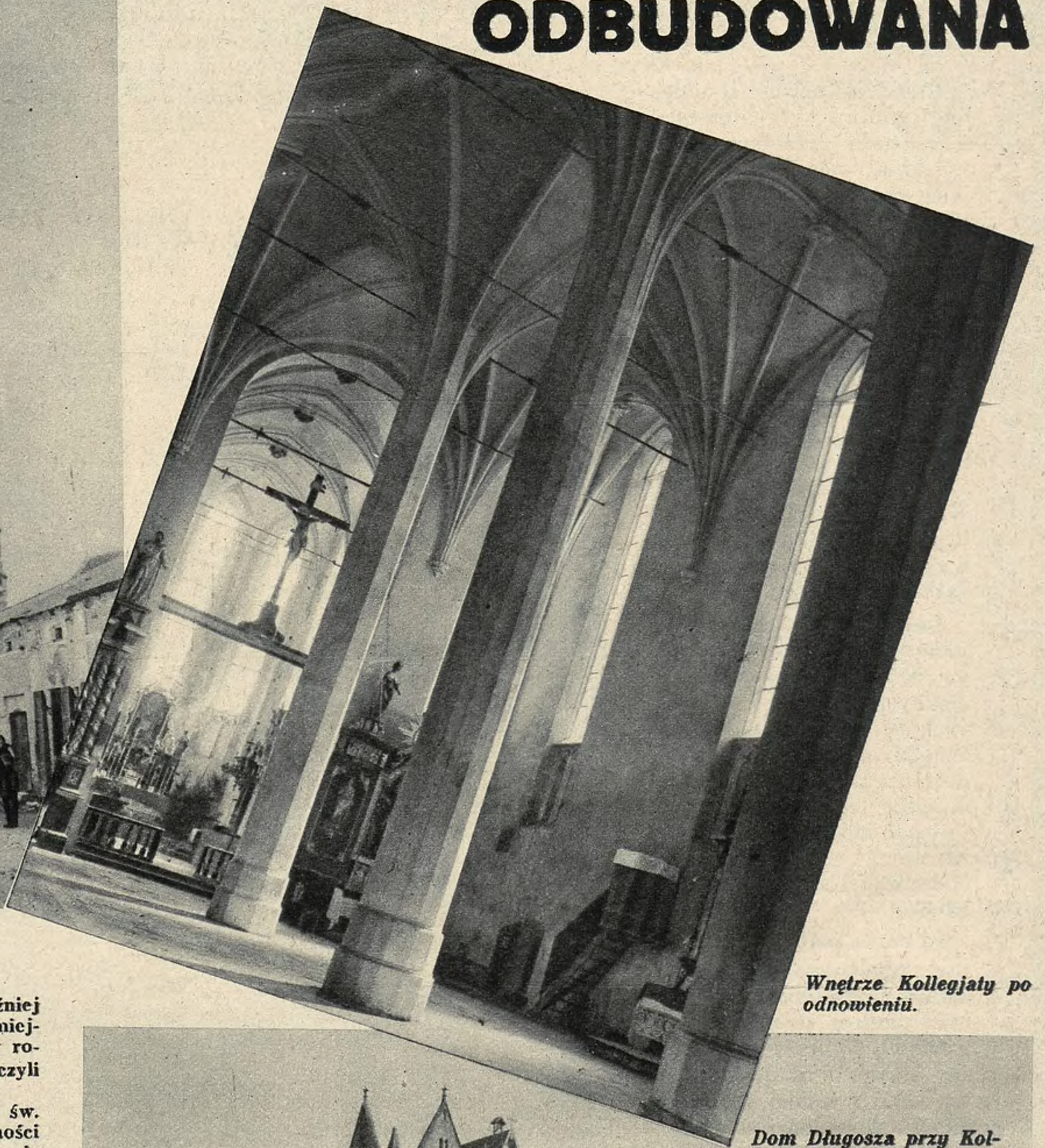
Bolerko i czapeczka z naturalnego białego baranka strzyżonego. — Przybranie z selskinów.

Żakiecik ze strzyżonej skóry jagnięcia w kolorze beige. Kołnierz i manszety bobrowe,

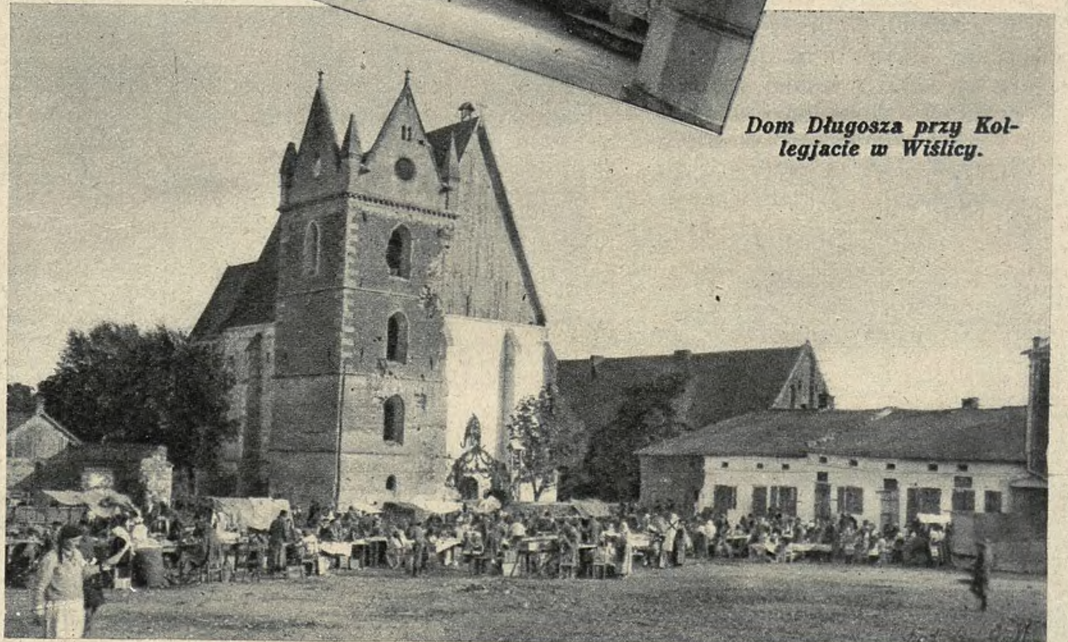
PRASTARA KOLLEGJATA WIŚLICKA ODBUDOWANA



Kollegjata w Wiślicy po zbombardowaniu w 1914 roku.



Wnętrze Kollegjaty po odnowieniu.



Dom Długosza przy Kollegjacie w Wiślicy.

Wiślica, prastara osada, sięgająca czasów przedhistorycznych, później miasto powiatowe w województwie sandomierskiem, była ulubionem miejscem pobytu monarchów polskich. Tu, jak wiadomo, król Kazimierz w roku 1347 po naradach z dygnitarzami państwa ogłosił pisane ustawy czyli t. zw. statut wiślicki.

Od dawnych czasów wznosił się w Wiślicy kościół pod wezwaniem św. Trójcy. Kościół ten już zapewne w XI w. podniesiony został do godności kościoła parafjalnego i kolegiaty, prepozyt bowiem wiślicki pojawia się w r. 1214. Była to świątynia szczupła, niska, o formach krępych, masywnych, ozdobiona dwiema wieżami od zachodu.

Gdy Łokietek po wielu latach tułactwa powraca do kraju, pierwsza Wiślica otwiera mu swe bramy (1305 r.). Podanie głosi, że gdy strudzony walką, ukrywszy się w krypcie kościoła św. Trójcy, zasnął, ukazała mu się N. P. Marja, zwiastując pomyślny koniec cierpieniom. Gdy odzyskał tron, na miejscu tem wzniósł nową świątynię. I rozpoczęta przez Łokietka, przez syna jego Kazimierza Wielkiego ukończona (1350 r.), stanęła nowa wspaniała budowla w stylu ostrołukowym czyli gotyckim. Z dawnego kościoła zostały tylko obie wieże, na których wsparto zachodnią ścianę nowej świątyni. Około r. 1440 stanęła przed kościołem czteropiętrowa, murowana dzwonnica; ozdobiona niegdyś attyką i czterema wieżyczkami gotyckiemi stanowiła piękne dzieło sztuki XV stulecia. Dzwonnicę tę wystawił własnym nakładem Jan Długosz, historyk a zarazem prałat tut. kollegiaty.

Z daleka już wita podróżnika kościół wiślicki wyniosłością i sędziwością swych omszałych murów. Majestatyczna, ciężka, o prostych a ostrych zarysach ciemna masa jego murów piętrzy się nad skupionymi w dolinie Nidy domkami miasteczka. Zbudowany z kamienia ciosowego, obrabianego w kostkę, odznacza się niezwykłą wysmukłością. Ściany nawy w oknach wąskich zrzadka rozstawionych, podpiera z każdej strony po pięć ciosowych przypór o prostym okroju. Lecz daleko więcej malowniczy widok przedstawia znacznie wydłużone prezbiterjum, którego ściany rozczłonkowane są licznemi przyporami i przecięte wąskiemi oknami a absyda przedstawia malownicze załamania.

Niezwykłego jednak i nieporównanego wrażenia doznaje widz, wszedłszy do wnętrza kościoła. Wystrzelają kolumny niby pnie palmowe i gdzieś wysoko rozbiegają się we wszystkie strony gałęźmi-żebrami. Wspaniałe zaiste wrażenie. Trzy wysmukłe filary biegną środkiem kościoła i dzielą go — co za oryginalność! — na dwie nawy. Tem się właśnie różni kollegiata wiślicka od trójnawowego typu bazylikowego, jakim jest między innemi kościół Marjacki w Krakowie. Podczas kiedy w ostatnim mamy dwa rzędy filarów, które dają świetny efekt perspektywiczny — kościół wiślicki tworzy ogromną halę, w której z każdego prawie punktu można dobrze słyszeć i, co jest pożądanem, widzieć kaznodzieję. — Dzięki tej okazałości i umiarowi swego wyniosłego, przepięknie sklepionego, dwunawowego wnętrza, zajmuje kollegiata wiślicka w dziejach średniowiecznej architektury polskiej miejsce wyjątkowe.

Wspaniała świątynia zachowała się w doskonałym stanie aż do r. 1914, kiedy to, na skutek działań wojennych stała się ponurą ruiną. Celnemi strzałami dział nieprzyjacielskich została strzaskana fasada, dach pogruchotany, przepiękne sklepienie zupełnie zwalone, a z każdej prawie strony powstały w ścianach duże wyłomy i pęknięcia.

Kielecki urząd konserwatorski przystąpił niebawem do zabezpieczenia ruiny i uzyskał na to od władz okupacyjnych znaczną pomoc, a następnie, z powstaniem Polski podjął przy pomocy ludności miejscowej i rządu polskiego dzieło wskrzeszenia świątyni w jej pierwotnym kształcie. Zadanie było trudne, ale nie niemożliwe. Nie tylko bowiem sama ruina zachowała liczne fragmenty, które dawały podstawę do zamierzonej rekonstrukcji, ale już na kilka lat przedtem cenny zabytek został pod względem naukowym opracowany przez prof. Dr. Szyszko-Bohusza, który też wykonał wtedy dokładne zdjęcie pomiarowe kościoła. To też jemu zostało powierzone kierownictwo prac nad odbudową.

Gruntowna restauracja budowli zabytkowej dała sposobność do odsłonięcia resztek lub śladów jej dawniejszej postaci. Rozwalenie fasady frontowej odsłoniło owe dwie wieże romańskie, na której wspierała się fasada kościoła gotyckiego.

Kollegiata wiślicka, wysiłkiem znakomitego architekta stoi dziś odbudowana, niemal w pierwotnej swej postaci, z tą tylko różnicą, że odbudowę doszczętnie niemal zwalonych wież uznano za niewskazaną.

Ale dzieło odbudowy nie jest ukończone. Wnętrze kościoła, ogołocone ze sprzętów i urządzeń, czeka na twórczy wysiłek młodej generacji artystów, którzyby wypełnili je dziełami sztuki, godnemi tego cennego zabytku.

Dr. Władysław Terlecki.

WSPOMNIENIA Z PIEKŁA

Było to już dobrze po północy w sierpniu 1917 r. Pięliśmy się wąską ścieżyną, przez nagie zbocza kierując się ku szczytowi, po którym ślizgały się oślepiające światła reflektorów włoskich.

— Daleko to jeszcze? — zapytałem kaprala.

— Będzie ze dwie godziny drogi.

— A gdzie front i pierwsze linje?

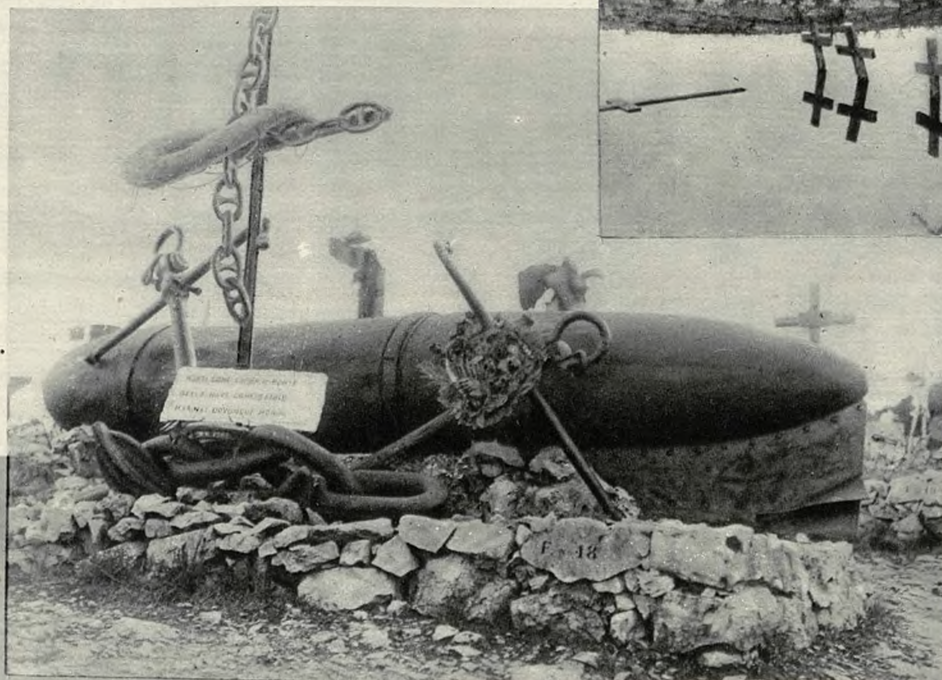
— Tam, gdzie widać te białe rakiety i czerwone światła.

Byłem w tej chwili dziwnie wzruszony. Wstępowałem bowiem na pozycję, która na całym froncie włoskim nad Isonzo, uchodziła za najstraszliwszą.

Hermada! Ileż ona pochłonęła ofiar, ileż razy była atakowana, ileż razy dudniał i szalał na niej ogień huraganowy, ileż obłędnych krzyków, zawodzeń i jęków słyszała ta martwa kamienna góra, wysterczająca niby skalisty fort nad morzem i broniąca Triestu. Włosi w ciągu długich miesięcy skoncentrowali wszystkie swoje wysiłki, aby zdobyć to wzgórze, a przez to zagrozić i zlikwidować lewe skrzydło armji austrjackiej. Dowódca zaś frontu austrjackiego, generał Boreowicz, nie wahał się poświęcać całych pułków i bataljonów dla utrzymania tej kluczowej pozycji. Kiedy w 1917 roku w pierwszych dniach sierpnia zostałem wraz z trzecią baterją 48-go pułku haubic polnych odkomenderowany na Hermadę, było to właśnie po 11-tej ofenzywie włoskiej. Hermady i Doberdo broniły wtedy prawie wyłącznie polskie pułki. Stał tam więc wadowicki 56 pułk piechoty, była 20-ka ze Sącza i wiele bataljonów rezerwowych, których nazwy już nie pomnę. Życie na Hermadzie płynęło monotonnie, jeżeli wogóle życiem można nazwać było to nędzne wegetowanie, w płytkich, skalistych rowach, w ustawicznym ogniu huraganowym, przy niezmiernej spiekocie i upałach, dochodzących do 40 stopni. Jedzenie na Hermadzie dostawało się tylko raz dziennie, późną nocą. Składało się ono z zimnego rosołu i kawałka mięsa. Służbę pełniło się na zmiany co 6 godzin, to znaczy 6 godzin snu, 6 godzin służby.

Moje stanowisko obserwacyjne znajdowało się tuż przy pierwszych linjach na wzgórzu Karola, w jamie, wydrążonej w skale, tak wąskiej i małej, że służbę trzeba było pełnić leżąc na brzuchu, na desce i patrząc przez otwór na przedpole. Druga komora obok, wypełniona do połowy zaskórną wodą, przeznaczona była na dyżurkę i sypialnię. Wieczorami i w nocy roiło się tam od myszy i szczurów, które bezceremonjalnie spacerowały sobie po żołnierzach. Zaskórna woda zaś wydawała fetor wprost nie do zniesienia. O wyjściu na świeże powietrze nie było mowy, gdyż równałoby się to samobójstwu. — Obserwator pełniący służbę musiał więc siedzieć, względnie leżeć nieruchomo od świtu, aż do zmroku. Dopiero, kiedy się już zupełnie ściemniło, wychodziło się ukradkiem z jamy, a potem pełzając na brzuchu, docierało do najbliższego zakrętu, gdzie dopiero można było wyprostować się. Do obowiązków obserwatora należało co chwilę sprawdzać, czy przewody telefoniczne nie są uszkodzone. Gdy zaś na wołanie baterja w ciągu 5 minut nie zgłaszała się, dyżurny musiał bez względu na porę dnia i niebezpieczeństwo natychmiast iść na kontrolę. Czy trzeba dodawać, że z tej kontroli bardzo często nie wracało się. Widziałem starych, osiwiałych ludzi, którzy płakali jak dzieci, gdy wypadało im iść sprawdzać przewody w ciemną, deszczową noc. Jedynaście ofensyw przeszło nad Hermadą. Rozprysły nad nią miljony pocisków, dziesiątki tysięcy ludzi obmywały swe rany w Isonzo i patrzały śmierci w oczy. A tam za nami w tyle śmiało się wesołe i słoneczne miasto — Triest.

Masowe groby pod Hermadą na froncie włosko-austrjackim. Zdjęcie z 1917 roku. Fot. J. L.



Torpeda na grobie marynarza na cmentarzu w S. Elia nad Isonzo, we Włoszech.

Reflektor na grobie jego obsługi, która wyginęła do nogi.

Dziś cicho i pusto na Hermadzie i nad Isonzo. Czasem zaplącze się tu tylko podróżny z przewodnikiem w ręku, zajęty zwiedzaniem pobojowisk.

— A więc to jest ta sławna Hermada? — słychać głos znudzenia.

I podróżny staje nad lasem krzyżów, a potem wraca do autokaru i zapisuje w swoim notatniku: Byłem na Hermadzie i nad Isonzo. Owszem, owszem...



Wzgórze S. Elia w pobliżu Isonzo, na którem spoczywa 30.000 Włochów poległych w latach 1915—1917. Osobliwością tego cmentarza są nagrobki, które stanowią pociski armatnie, torpedy, reflektory, rozbite działa, karabiny maszynowe i t. d. Obecnie w sezonie letnim cmentarz ten jest celem wycieczek nietylko z Europy, ale i z Ameryki.

Szarada-Aforyzmy.

(Ułoż. St. Millerowa, Łęczno, czł. Kl. Szar.).

Chociaż to **pierwsze-drugie** gnębi nas i gniecie,
— Choć jedynym udziałem jest tylko cierpienie,
— Choć miast skarbów i złota często sypie śmiecie,
Jednakże ciągle życia jesteśmy spragnieni...

*

Świat nęci nas i mami i wabi i kusi
Niby **ósma-dziewiąta** syrena-zwodnica —
— Często życiem przepłacić taki śmiałek musi,
Który się **siódme-pierwsze** popatrzeć w jej lica...

*

Piąta-szósta i siódma dla niektórych ludzi
Jest życia i użycia alfą i omegą, —
— Ci nie schylą do ziemi czoła w ciężkim trudzie,
Lecz **czwartego-szóstego** również nie dostrzegą...

*

Szczęście nie zawsze mieszka w złoconej komnacie
Choć w niej wygodnie, miękko niby w **siódmej drugiej,**
Drugie i ósme i jasno. Częściej je spotkacie
W jakiejś ciemnej, ubogiej **dziewiątej i drugiej...**

*

Kiedy się komuś w życiu wszystko dobrze wiedzie,
Przyjaciół nie przeliczy w korowodzie długim, —
Ale niechże się tylko nagle znajdzie w biedzie —
— Pozostanie sam jeden, jako kołek w **ośm-drugim...**

*

Gdy człowieka przenika **pierwsza-siódma** wiara,
W duszy jego panuje spokój i pogoda,
Pewien, że za złe czyny nie minie go kara,
A za dobre postępki czeka go nagroda...

*

Pierwsze-drugie to chaos. — Obok poświęcenia
Która niby pochodnia **ósme-czwarte** jasno
Snują się **drugie-czwarte** zbrodni, upodlenia,
Wśród których te światełka rzadkie bledną, gasną...

*

Pierwsze-drugie to morza przestrzenie otwarte,
— Człowiek niby rozbitek na wzburzonej fali —
Zapada się — wypływa — wkońcu **trzecie-czwarte,**
Bo gdy pływać nie umie — nic go nie ocali...

Mozaika.

ułożyła * * *



W daną figurę należy wpisać dośrodkowo, w kierunku promieni koła, 27 pięcioliterowych wyrazów o podanem znaczeniu. Litery w kratkach z kółkami dadzą rozwiązanie.

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1. Bezdrzewne miejsce w mokrym lesie. 2. Narząd. 3. Instrument muzyczny. 4. Olbrzymi wąż niejadowity z rodziny dusicieli. 5. Czupurność, czelność. 6. Wielka powódź. 7. Przesłuchiwanie, indagacja. 8. Odrobina, kruszyna. 9. Godło wiary chrześcijańskiej i cierpienia. 10. Pierwiastek niemetaliczny z gromady węgla. 11. Worek do pieniędzy. 12. Pierze, wełna na roślinach, np. na dmuchawcu, na oście itp. 13. Sekstern. 14. Funt marokański. 15. Herb polski, nadany 1556 r. przez Zygmunta Augusta. 16. Ptak podkasaty z rodziny bekasów. 17. Bliski krewny. 18. Prawy dopływ rzeki Amazonki. 19. Chata u Tatarów, lepiona z ziemi albo z chróstu. 20. Ciasto zakalcowate. 21. Katarakta. 22. Wielki lodowiec w kantonie Walls w Szwajcarji na południe góry Jungfrau. 23. Postać z „Ogniem i mieczem" Sienkiewicza. 24. Lud, gmin. 25. Gołe miejsce wśród zboża. 26. Ziemia orna, rodzajna. 27. Wieś murzyńska, zwłaszcza Hotentotów i Kafrów.

Za rozwiązanie niniejszych dwóch zadań redakcja „Światowida" przeznacza

trzy nagrody.

Pierwsza zł. 30, druga zł. 20, trzecia zł. 10.

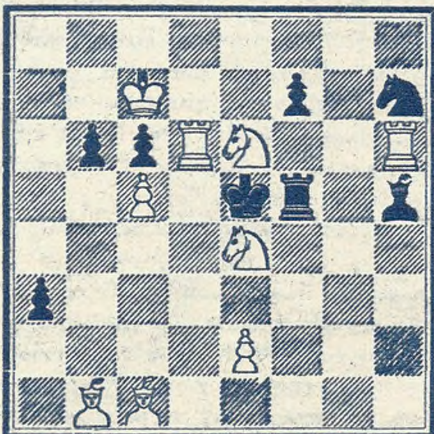
Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 24 września b. r. wraz z załączonym kuponem.

Dział szachowy

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

J. Maas (II nagr. w konkursie „Tijdschrift" v. d. Nederl. Schaakbond w r. 1931).

Czarne: Ke5, Wf5, Gh5, Sh7, piony: a3, bć, c6 (8).



Białe: Kc7, Wd6h6, Gb1c1, Se4e6, piony: c5 e2 (9).
3-chodówka 9×8 = 17.
Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie 3-chodówki J. Maasa: 1. S—f2!

I. 1... W×f2 2. S—d8 i 3×;
II. 1... G×e2. 2. G—d2 i 3×;
III. 1... b×c5 2. S×c5 i 3×;
IV. 1... W—f3 2. e×f3 i 3×;
V. 1... W—f6 2. W×h7± i 3×.

PARTJA

Białe: **Spielmann** Czarne: **Pirc**
grana na międzynar turnieju w Sliacz w b. r.

Gambit hetmana.

1. d4 S—f6	17. S—d2 h5? (5)
2. e4 e6	18. S—c4 H—a7
3. S—f3 d5	19. f3 c×d4 (6)
4. S—c3 c6	20. G—f2! S—e3
5. e3 Sb—d7	21. G×e3 d×e3
6. G—d3 d×c4	22. G—e4 g4
7. G×c4 b5	23. S—d6± G×d6
8. G—d3 a6	24. H×d6 g×f3 (7)
9. e4 b4 (1)	25. W—c7!! W×g2±
10. S—e2 (2) c5	26. K—h1 W—d8
11. e5 S—d5	27. W×b7 (8) f×e2
12. 0—0 G—b7 (3)	28. W—e1 W—f2
13. G—g5 H—b6	29. W×a7 W—1±
14. W—c1 h6	30. K—g2 W×e1
15. G—h4 g5 (4)	31. G—c6 Czarne poddały się. (9).
16. G—g3 K—g8	

UWAGI:

(1) Unika warjantu merańskiego. To posunięcie zastosował już dr. Vidmar w portjach z Bogolubowem i Stoltzem (Bled 1931).

(2) Bogolubow grał 10. e5, poczem wywiązała się remisowa gra.

(3) Należało grać przedtem 12... G—e7.

(4) „Szachm. Listok" wskazuje i poleca ostrożną grę! 15... c×d 16. Se×d4 S—f4 z groźbą g5 i S×g2, podczas gdy „British Ch. Magazine" podaje 15... a5 lub 15... Wc8.

(5) Rozstrzygający błąd! Należało grać 17... c×d4. Po 18. S—c4 H—a7 lub 18. S—b3 S—c5 19. S×d4 S×d3 20. H×d3 Białe nie miałyby przewagi.

(6) Według B. Ch. M. korzystniejszem było 19... W—c8

(7) Inne posunięcia nie ratują też: np. 24... W—c8 25. W—c7 (lub 25. W×c8 G×c8 26. W—c1); 24... G×e4 25. W—c7!

(8) 17. G×f3? G×f3! 28. W×f3 H—a8!

(9) 31... W—g1± 32. K—h3! 31... W—d1 32. G×d7 33. W—a8+.

Rozwiązanie z Nr. 34

Maskarada.

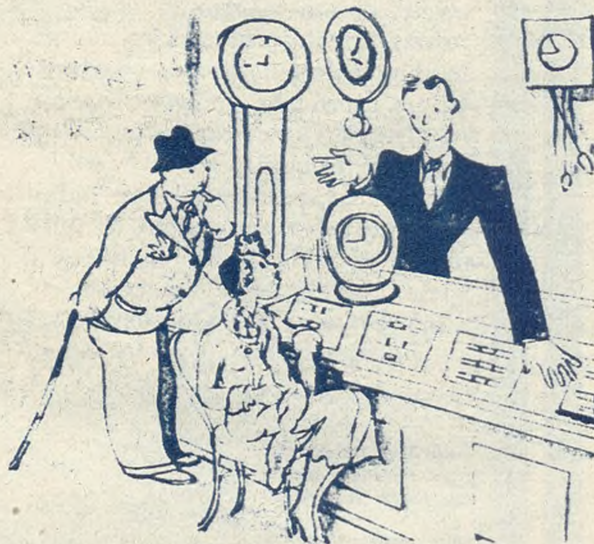
Trafne rozwiązanie zagadki z Nr. 34 nadesłali:

„Gaspard"; J. Ochońska, Zakopane; Gaspardowa, Warszawa; A. Witkowski, Poznań; E. Pasierb, Tarnów; St. Biesiada, Ozorków; A. Duda, Tomie; T. Dadej, Warszawa; M. Garczyńska, Będzin; D. Piekosińska, Brzezowiec; A. Piekosińska, Brzezowiec; J. Głuchowska, Pińczów; H. Borten, Kołomyja; Jotel, Warszawa; ks. L. Klementowski, Tarnopol; G. Rogowski, Tarnopol; M. Fischler, Lwów; Z. Fischbach, Września; J. Augustak, Inowrocław; B. Morawski, Katowice; W. Siuta, Kołomyja; L. Nieczuja Ihnatowicz, Gdynia; J. Maziarz, Ozorków; W. Olexówna, Witoszyce; Fr. Litwiński, Lublin; N. Nieknasz, Wilno; A. Grabowska, Klecza Górna; N. K. Kozłowski, Warszawa; L. Glaszmidt, Warszawa; W. Tyblewski, Poznań; J. Maćkowiak, Krzywiń; A. Berezowska, Lwów; Jawnuta, Słonim; Cz. Kozłowski, Warszawa; A. Kostyrka, Brześć; M. Szymko, Podbrodzie; J. Kowalska, Warszawa; **Kazimiera Kalinowska, Lwów (zł. 30.—)**; „Abiturjent", Lwów; Wł. Boner, Lwów; Z. Tietz, Warszawa; St. Mikowska, Warszawa; J. Roman; Wł. Gajowa, Poznań; J. Świerczyńska, Lwów; E. Wachowiczówna, Siedlce; M. Herschenfeldowa, Łochów; H. Cieszewska, Wilno; T. Cieszewski, Wilno; A. Papee, Katowice; Grenicheaux, Warszawa; R. Kruszewska, Lwów; Janina z Torunia; A. Relidzyńska, Radom; J. Czerwiński, Kowel; S. Wohmonowa, Wiśniowa Góra; Z. Żukowa, Jędrzejów; En-Maur, Stryj; **Jola Kowalczykówna, Łódź (zł. 20.—)**; M. Waksmundzka, Jasło; J. Rogowski, Warszawa; E. Broniewski, Ostrowiec Kielecki; D. Herbstmanówna, Warszawa; Pędzimąż, Zakopane; R. Schützowa, Poznań; T. Sobecki, Poznań; Ajszpur, Królewszczyzna; A. Rotter, Kraków; R. Mendrala, Rzeszów; „Sierpień"; F. Wachulski, Jaworzno; „Gon", Warszawa; J. Tyblewska, Poznań; St. Nowicki, Poznań; A. Borowicz; Z. Szetkiewiczówna, Poznań; W. Kortylewiczówna, Poznań; W. Kortylewicz, Poznań; „Wrzesień", Warszawa; J. Doroszkiewicz, Królewszczyzna; Z. Ełjaszewicz, Królewszczyzna; **Roman Dergiman, Wilno (zł. 10.—)**; Żermena, Warszawa; T. Kretkowski, Warszawa; St. Wojtczak, Ozorków.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Kazimierę Kalinowską, Lwów, (Zł. 30.—), Jolę Kowalczykównę, Łódź (Zł. 20.—) (prosimy o przysłanie dokładnego adresu) i Romana Dergimana, Wilno (Zł. 10.—).

Redakcja „Światowida" wyżej wymienionym prześle nagrody niebawem.

TU SĘK...



Zegarmistrz: Ten zegar, proszę Pani, idzie bez nakręcania 300 godzin.
— A wiele godzin idzie nakręcony?

WESTCHNIENIE ŻARŁOKA:



— Może Pan Bóg da, że z zaproszonych gości nikt nie przyjdzie.

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65. Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65. Numer konta P. K. O. w Krakowi 404.200 — w Warszawię 140-725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm. w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego" w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON Nr. 38 upoważniający do losowania nagrody

POWRÓT NASZYCH OLIMPIJCZYKÓW.



Nasi wioślarze Olimpijczycy po powrocie do kraju. Stoją od prawej: Budziński, Ślązak, Braun, Skolimowski, trener Haspel, inż. Lenartowicz, kpt. sportowy P. Z. T. W. inż. A. Loth, wiceprezes P. Z. T. W. Urban i Kobyliński.



Entuzjastyczne powitanie Olimpijczyków przez publiczność na dworcu Bydgoskim.



Kusociński i Wajsówna podczas przyjęcia Olimpijczyków w salonach W. T. W.

We czwartek dnia 8 b. m. polska drużyna olimpijska po dwumiesięcznej z górą nieobecności w kraju powróciła do stolicy. Powrót jej był prawdziwym marszem triumfalnym, począwszy od samego momentu wylądowania w Gdyni. Na wszystkich stacjach kolejowych od Gdyni po Warszawę, na których pociąg, wiozący olimpijczyków zatrzymywał się, tłumy publiczności przygotowały spontaniczną owację triumfatorom, a szczególną popularnością cieszył się oczywiście Kusociński.

W samej Warszawie owacje tłumu osiągnęły tak nieoczekiwane rozmiary, że przeprowadzenie przewidzianego programu stało się niemożliwem, wszelkie bowiem przygotowania przekreślił przechodzący wszelkie granice entuzjazm. Olimpijczyków ulokowano w dwóch autokarach, zaś Wajsówna zajęła miejsce w powozie, powożonym przez małego Sokolika. Na ulicach Warszawy, przez które przejeżdżali olimpijczycy, publiczność ustawiła się szpalerem, witając niezwykle serdecznie naszych najlepszych sportowców. Udali się oni do lokalu Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego gdzie przyjęto ich „lampką wina" i wygłoszono szereg oficjalnych, powitalnych przemówień. Przyjęcie to świadczy o głębokiem zakorzenieniu idei sportowej w najszerszych masach naszego społeczeństwa.



Tłumy publiczności przed Dworcem Głównym oczekujące na przyjazd Olimpijczyków.

GDY POWRACAJĄ UWIEŃCZENI LAUREM.

Polscy olimpijczycy powrócili do kraju. Po raz pierwszy powrócili z Igrzysk opromienieni blaskiem odniesionych wielkich sukcesów. Zdobyli bowiem 3 złote medale olimpijskie, 2 srebrne i 4 bronzowe, zajmując w ten sposób 12 miejsce w ogólnej klasyfikacji narodów i ustępując tylko największym potęgom sportowym świata, które obesłały wiele działów sportu i wysłały liczne, nieraz po paruset zawodników liczące zespoły, wówczas gdy my walczyliśmy tylko w trzech dziedzinach sportu i w sztuce, wysyłając zaledwie 20 zawodników. Cztery lata temu mieliśmy 17 miejsce, a w 1924 r. — 21-sze. Postęp więc jest ogromny. Wielkiemi krokami zbliżamy się do tego, by stanąć wśród czołowych w sporcie narodów świata.

Tak korzystną zmianę zawdzięczamy intensywnej pracy nad rozszerzeniem podstaw sportu przez ogarnięcie mas oraz racjonalnej i systematycznej pracy nad podniesieniem poziomu czołowej klasy naszego sportu.

Przygotowania przedolimpijskie prowadzone były niezwykle starannie i racjonalnie. Położono nacisk nie na to, by wysłać liczną drużynę, lecz na to, by dobrze przygotować niewielki, ale naprawdę pierwszorzędny zespół. Pamiętano o wszystkiem. Nietylko więc o gimnastyce i treningu technicznym, ale również o stworzeniu zawodnikom odpowiednich warunków do pracy, o higjenie ich życia codziennego, a nawet — o ich odżywianiu się.

Kandydaci na olimpijczyków zgromadzeni byli w specjalnych obozach treningowych. Jak daleko posunięta była przytem troskliwość o formę sportową olimpijczyków, może najlepiej świadczyć szerszej opinji nieznany fakt, że w obozach tych zawodników poddawano specjalnemu dożywianiu cukrem, który najwybitniejsi lekarze sportowi, trenerzy i zawodnicy uznają za najlepszą odżywkę w okresie intensywnych wysiłków fizycznych i nerwowych.

Oto, co przed Olimpjadą pisał trener Klumberg, który sam był dawniej jednym z najznakomitszych olimpijczyków świata, a dziś prowadzi naszych lekkoatletów do rekordów i sławy:

„W porozumieniu z dr. Szewczykowskim, znając duże znaczenie odżywcze cukru, opracowaliśmy plan systematycznego dożywiania zawodników cukrem. Zaczęliśmy od 50 gr. dziennie, a doszliśmy stopniowo do 250 gr. w stanie naturalnym, potrawach i napojach. Zarówno samopoczucie zawodników jak i badania lekarskie przekonały nas, iż dożywianie to dało doskonałe wyniki, czego cyfrowym dowodem był przybytek wagi i siły u wszystkich uczestników obozu. Po obozie posypały się w Polsce rekordy światowe. — W czerwcu padło ich sześć, wówczas gdy poprzednio od początku istnienia naszego sportu mieliśmy tylko 2 rekordy światowe p. Konopackiej.

Również trener wioślarski Reinhardt, pod okiem którego pracują wioślarze najlepszego polskiego klubu wioślarskiego „Poznań 04" kładł silny nacisk na dożywianie zawodników cukrem.

W fachowym organie „Sport Wodny" czytaliśmy przed Olimpjadą w specjalnym artykule następującą jego opinję w tej sprawie: „Cukier ma wielkie znaczenie przy osiąganiu wyników sportowych. Pomnaża on energję i ożywia nerwy. To też uważam go za bardzo dobry środek odżywczy i chętnie używam dla dożywiania trenujących wioślarzy, aby podnieść ich formę fizyczną".

Wioślarze K. W. Poznań 04 od kilku lat dożywiani są cukrem. W tym czasie wybili się oni na bezapelacyjnie pierwsze w kraju miejsce, zdobywając np. w r. ub. 5 mistrzostw Polski na 7 rozgrywanych. Pozatem pupile Reinhardta zdobyli w 1930 r. mistrzostwo Europy, a r. ub. wice-mistrzostwo. W roku bieżącym Mikołajczyk i Budziński zdobyli w Los Angeles bronzowy medal olimpijski, bijąc w przedbiegu mistrzów Ameryki — osadę U. S. A. oraz mistrzów Europy — osadę Francji. Pozatem czwórka i ósemka K. W. Poznań 04 zakwalifikowały się do bronienia barw Polski na tegorocznych mistrzostwach Europy.

Godzi się tu zaznaczyć, że zawodnicy, którzy specjalnie rzetelnie traktowali dożywianie się cukrem, najlepiej znieśli trzytygodniową męczącą podróż i przeprawę przez Ocean oraz wykazali na Igrzyskach najlepszą formę.

Warto wkończu zanotować, co mówi w tej sprawie nasz największy as — Kusociński. Jak pisze Klumberg, za podstawę odżywiania się długodystansowca uważa on mięso, ale równocześnie podkreśla konieczność uzupełniania tego dużemi ilościami cukru. Nie spożywa go w kostce, tylko pije dużo bardzo słodkich kompotów, lemonjad i innych napojów.

Dziś, kiedy wszystkie oczy zwrócone są na przybyłych z za Oceanu naszych olimpijczyków, trzeba stwierdzić, że duża zasługa przypada też naszym kierownicznym czynnikom sportowym, które tak starannie przygotowywały ekspedycję olimpijską, że nie zaniedbały nawet dożywiania zawodników cukrem.

POŻERACZKA MILJARDÓW.



Anita Page (na zdjęciu), wciąż niegasnąca gwiazda amerykańskiego filmowego firmamentu, ma jednocześnie drugi tytuł do sławy: ze swoją urodą i miną niewiniątka jest pogromczynią serc męskich w ogólności, a kieszeni miljarderów w szczególności. Głośna jest z tego, że nadwyrężyła już fortunę pięciu miljarderów amerykańskich, skutkiem czego w opinji pozyskała sobie nieoficjalny tytuł „pożeraczki miljardów“. Obecnie, wobec kryzysu i depresji u miljarderów, Anita Page musi zadowolić się flirtem ze strachem na wróble.